CENA 15 ZŁ

(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)



Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.

Józef Kisielewski „Ziemia gromadzi prochy"





NUMER 36 (93) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 7 WRZEŚNIA 1947 ROKU ROK III

PAWEŁ KUPKE

Kim jest Wiktor Gollancz

„W berlińskiej kolei podziemnej rozmawiało półgłosem dwoje niemłodych już Niemców. Słowa padały rzadko, przerywane suchym kaszlem, chusteczka co chwila migała w dłoniach, porywając wyplute słowa. Chorzy ci i głośni ludzie opowiadali sobie treść dzisiejszych gazet. W pewnej chwili ona ożywiła się. Przypomniała sobie:

— Czytałeś?

— Co? — zamruczał on.

— Rzecz Gollancza.

Podała mu szybko gazetę. Zaczął czytać. Skończył za placem Wittenberga.

— No — powiedziała — bajeczne, co?

Milczał. Widać, że mocował się z zaufaniem. Wreszcie wyszeptał:

— Wydaje się być prawdziwym człowiekiem. Ów Gollancz. A nie żadnym urzędnikiem".

To zdarzenie podsłuchał Günther Weisenborn, poeta i dramaturg, i ono stało się powodem napisania przez niego listu otwartego do Wiktora Gollancza „wielkiego Anglika, który jest wielkim człowiekiem", list pełen słów podzięki za „dobroć jedyną w swoim rodzaju, za obronę, dodanie otuchy", list raz jeszcze przypominający legendarne dane o niemieckim ruchu oporu, długi i namiętny, korny i pyszny zarazem list.

Kim jest Wiktor Gollancz, do którego modlą się Niemcy? Któremu dziękują, o którym piszą wiersze w rodzaju „o ty, co jedyny wśród ludzi człowiekiem nam się jawisz?" Kim jest ten Anglik pochodzenia polsko-żydowskiego, którego biskup z Chichester określa jako „najlepszego chrześcijanina Anglii"? Kim jest Gollancz, który zasłużył na bizantyjską zgoła pokorę Weisenborna: „Pana nazwisko stało się dla nas Niemców najlepszym nazwiskiem w świecie, nazwisko człowieka, w którym jednoczą się nasze pojęcia człowieczeństwa w kształt niebywałej, wspaniałej energii... A nazwisko pana, Wiktorze Gollancz, idzie jak tajemna opowieść o człowieczeństwie od ust do ust, gdy ludzie mojej ojczyzny stoją w ogonku po wodę lub drzewo, po chleb lub kartofle".

*

Urodzony 1893, żołnierz angielski z pierwszej wojny światowej, zakłada własne wydawnictwo i wydawane przez niego tzw. „żółte książki" wkrótce zdobywają liczne rzesze czytelników. 1936 zakłada „Left Book Club", po kilku miesiącach klub ten liczy już tysiące abonentów. Gollancz rozumie mechanizm czytania, wie pod kątem widzenia jakich potrzeb przeprowadzać należy organizację książki. Są Anglicy, którzy twierdzą, że klub Gollancza i prowadzona przezeń polityka książki przyczyniła się w znacznym stopniu do zwycięstwa Labour Party 1945.

Gollancz stał się człowiekiem popularnym. Za popularnością uganiał się od dawna. Zdobywał ją w dziedzinach małych form życia i oddziaływania. Teraz kształtować miał formy wielkie. A oto jego droga po wojnie.

Pierwsze kroki skierował do Niemiec. Podróż swą odbył po zachodnich terenach okupacyjnych. Z Jülich pisze list do żony w Anglii, który opublikują pisma angielskie. Pisze w nim o Niemcach: „Trzeba ich kochać ze względu na ich cierpienie i dzielność". Gollancz staje się szermierzem odbudowy i pomocy Niemcom. Schodzi na niebezpieczną drogę utożsamiania Europy z Niemcami. Po powrocie do Anglii zakłada organizację „Save Europe Now" (Ratujcie Europę). Europa to dlań Niemcy, powinien był zatem raczej powiedzieć: Ratujcie Niemcy. On sam rozpoczyna ratować je z wszystkich sił. Jeździ po Anglii, pisze książkę „In Darkest Germany" (W Niemczech najbardziej mrocznych), staje się sławnym „chrześcijaninem" dla szlachetnych pastorów angielskich, którzy nigdy nie uwierzą w Oświęcim, organizuje fraternizację na terenie Anglii, przemawia do jeńców niemieckich i nawołuje rodziny angielskie do przyjmowania ich herbatą i uśmiechem. „Chcę zakończyć wojnę, która trwa przeciwko Niemcom" — napisze. Podchwycą ten okrzyk Niemcy, rozbębnią go na cały kraj. Podkreślą, że mówi to Żyd, który „szlachetnością odpłaca za Hitlera". Czynny członek Partii Pracy dąży do fraternizacji, — bo trudno to nazwać solidarnością socjalistyczną, — między robotnikiem angielskim a niemieckim. Zbiera żywność i wysyła ją do Niemiec. Co prawda tylko do zachodnich. Wschodnie są dlań „trefne". O wschodnich mówi z niechęcią a nawet z nienawiścią. Tak to polityka ogranicza „szlachetność". Mimo to Weisenborn, który jest niejakim pojęciem literackim dla Niemiec wschodnich napisze z wdzięcznością: „...wydobył pan z kamiennego gruntu Anglii 25 tysięcy paczek żywnościowych".

Akcja pomocy trwa nadal, Gollancz patronuje jej jako idea, nie zwykłą kupiecką wprost zmyślnością sprawia, że wszędzie w Anglii powstaje grupa przyjaciół tej jego idei, po prostu grupa przyjaciół Niemiec.

O rozmiarach i znaczeniu działalności Gollancza na tym polu najlepiej przekonać się można czytając prasą niemiecką. Pisma wszystkich partii sławią jego imię. Dziś należy ono do najpopularniejszych imion w Niemczech, po nim dopiero idzie Schumacher. To przecież Gollancz jako Anglik najskuteczniej wyrabia Niemcom opinię narodu cierpiącego wśród zwycięskich narodów chrześcijańskich. To on jak żaden Niemiec najlepiej broni interesów niemieckich w Anglii we wszystkich krajach anglosaskich. Francja ma swoją politykę i ta polityka każe jej wysyłać swoją młodzież do Berlina, by całowała się tam z młodzieżą niemiecką. Anglia w wielu swych poczynaniach przyspiesza bieg swej polityki według tempa takich właśnie Gollanczów, anachoretów idei, „szlachetnych". Ale jeśli rzeczywiście Gollancza można nazwać anachoretą idei, to nie należy przy tym zapominać, iż jest on równocześnie kupcem. Tym więcej wierzy weń Anglia.

*

Zagadnienie niemieckie, rozumiane politycznie (choć Gollancz nie przyznaje się do takiego pojmowania go i raczej podkreśla chrześcijańskość swego germanofilstwa), wysunęło Gollancza równocześnie na czoło ideologów niezgody Europy. Istnieje taka ideologia, podkreśla ona wyraźnie podział Europy na wschodnią i zachodnią, nie dąży bynajmniej jednak do niwelowania tych różnic, pogłębia je raczej. Tworzy mit dobrej i chrześcijańskiej Europy zachodniej i złej despotycznej Europy wschodniej. Linia graniczna biegnie wzdłuż churchillowskiej żelaznej kurtyny.

Gollancz, współtwórca takiej germanofilskiej koncepcji Europy zachodniej, napisał i wydał w Londynie 1946 książkę „Our Threatened Values". (Nasze zagrożone wartości). Jedną z pierwszych jego tu zawartych myśli, pozornie nie budzącą żadnych zastrzeżeń, jest swego rodzaju motto: „Dobre, które utrzymywać musimy jako coś najświętszego, które zamyka w sobie wszystkie inne dobra, nazywa się: poszanowanie bliźniego." Ale już zaraz po przerzuceniu następnych kart książki zdobywamy pewność: napisał ją świętoszek, w którego hasło poszanowania bliźniego trudno uwierzyć. U Gollancza bowiem bliźni to przede wszystkim Niemiec, postać cierpiąca. Gollancz nawołuje w swej książce do... powtórzenia, a nawet zwielokrotnienia błędów powersalskich. W chrześcijańskim haśle miłości i poszanowania bliźniego przemyca liberalizm i germanofilstwo, nie mające nic wspólnego z budowaniem pokoju, o który tak walczy. Nad rzeczywistością niemieckich obozów koncentracyjnych prześlizguje się twierdzeniem, że „i dziś Europa obsiana jest obozami koncentracyjnymi, w których dziś jeszcze znikają ludzie bez normalnego postępowania sądowego". Występuje przeciw sądzeniu i skazywaniu polityków i żołnierzy uważając, że „jeśli ludzie rządzący dziś wiedzą, że zostaną zlikwidowani po utracie władzy, muszą się przy niej utrzymywać za pomocą wszystkich najbrutalniejszych środków gwałtu". „Żal mi jest każdego Niemca — woła dalej — każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, cierpiących biedę i nędzę, żal mi jest nawet Joice'a i Amery'ego, których skazaliśmy jako zdrajców, żal mi jest samego Kramera, człowieka z Belsen". Kramer był mordercą szczególnie wysokiej rangi; wyznanie Gollancza, z punktu widzenia chrześcijańskiego zrozumiałe, dziwne i niepotrzebne jest w obecnej sytuacji polityczno-ideowej Eurpy. Ale o to właśnie Gollanczowi chodzi, o zmianę atmosfery, której dominantą jest pamięć o zbrodniach niemieckich. „Niemcy to przede wszystkim ludzie, wymagający przede wszystkim ludzkiego ustosunkowania się, to ludzie nieszczęśliwi..." Gdzie indziej przyznaje, że wierzy w falowanie dobra: dobro rodzi dobro, tak jak fala rodzi falę. Stąd — według niego — pochodzi jego eweangelia dobra w odniesieniu do Niemców.

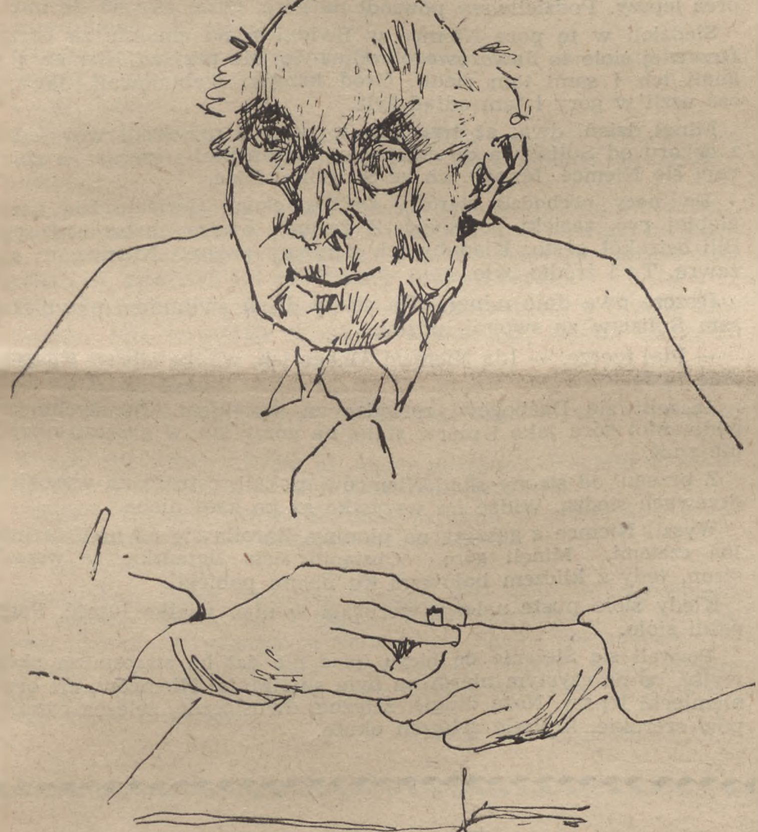
Co zarzuca Gollancz brytyjskiej polityce okupacyjnej w Niemczech? Zarzuca jej aneksję, wysiedlanie ludności cywilnej, plądrowanie, negację fraternizacji, głód i niewolnictwo gospodarcze. Pisze, że jest to „polityka w duchu Hitlera, którego zwalczamy, a nie w duchu zachodniego liberalizmu, dla którego walczymy". Że liberalizm ten ma służyć Niemcom, a nie dobru, że wolność niemiecka sprzyjać będzie tylko wybujałemu nacjonalizmowi i szowinizmowi, o tym nie pamięta, tych zastrzeżeń nie rozumie.

Podaje się za chrześcijanina. Gdzie indziej zaś głosi: jestem marksistą. Czyżby jeszcze jedna koncepcja połączenia obu tak różnych stylów życia i myślenia? Przez całą książkę przewija się jedna myśl zasadnicza: niechęć do Rosji. Wprawdzie zaznacza, że nie jest „ani przeciw ani za Sowietami, przeciw lub za Niemcami" — ale widać wyraźnie, że jest za Niemcami, a przeciw Rosji. Na tym opiera całą swoją politykę. Tu leży początek jego koncepcji bloku zachodniego, w czym nie jest w Anglii odosobniony. Tu także poczynają się jego wypady przeciw Polsce. Świętoszek drapuje się w togę oskarżyciela, gdy pisze: „Dwa miliony wygnanych z terenów przejętych przez Polskę! Wpatrujemy się ze zgrozą w te cyfry, zapominając przy tym o duszy i ciele". Zda się nie wiedzieć o historii ostatnich lat, w książce o Niemczech najbardziej mrocznych przyznaje się nawet do rozmyślnego ignorowania tego straszliwego okresu... dla dobra Europy. „Nie budujmy na przypominaniu zbrodni, budujmy na czynieniu dobra". Oto jego program dla Niemiec.

Działalność Gollancza, tak miła sercu niemieckiemu zaczyna zdobywać Anglików. Wszystkich innych jednak trzeba jeszcze ostrzec przed złudzeniami humanitaryzmu, które może ona wywołać. Nie jest to bynajmniej polityka bezinteresownego chrześcijańskiego socjalizmu, opierająca się tylko na miłości bliźniego i bezwzględnym humanitaryźmie, **— stoi za nią interes.** Przyznaje sam Gollancz, że nie jest mu obojętne, kto czyni Niemcom dobrze, komuniści, czy Anglosasi. Liberalizm typu kupieckiego, rozporządzający wielu środkami oddziaływania, od sentymentu germańskiego po dolary i paczki Care, nadaje ton całej działalności Wiktora Gollancza, która choć płynie pod sztandarami chrystianizmu, nie może otrzymać imprimatur świata chrześcijańskiego. Na złej glebie ciężko przyjmuje się dobro. Zło trzeba wyplenić. Gollancz widzi je jedynie w praktycznych pozostałościach totalistycznych, nie sięga głębiej, do duszy niemieckiej. Ale już dalsze jego zrozumienie nie ma nic wspólnego z materializmem i jest raczej po chrześcijańsku irracjonalne. Niekonsekwencja postawy rodzi błędy. Błędem jest przede wszystkim dostrzeganie w każdym Niemcu człowieka nieszczęśliwego, któremu trzeba pomóc; Gollancz nie mówi o tym, że nieszczęście jest zasłużone. Błędem jest uparte trzymanie się zasady podziału Europy na wschodnią i zachodnią według niematerialistycznych przesłanek o niezmiennym duchowym typie wschodu. Wiemy, że błędy te popełnia umyślnie; Gollancz bowiem filozofię swoją kalkuluje jak kupiec, którym był wpierw zanim stał się filozofującym politykiem.

Na pytanie zaś: kim jest Wiktor Gollancz, możemy odpowiedzieć uczciwie i spokojnie: pierwszym ambasadorem Niemiec powojennych w Anglii, który odwrócony plecami do niedawnej przeszłości, stawia na Niemcy odpowiadające założonej z góry koncepcji politycznej. Polityka zaś, którą w stosunku do Niemiec (a właściwie **dla** Niemiec) prowadzi, jest swoistą mieszaniną poglądów chrześcijańsko - socjalistycznych, ale u podłoża jej widoczny jest **anglosaski interes.**

Paweł Kupke



Wiktor Gollancz Rys. Lucyna Wranik.



Jezioro Dadej, pow. Reszel w nocy

STANISŁAW ROSPOND

Słowo do znachorów

JESZCZE o nazwach miejscowych — powie niejeden czytelnik z przekąsem, a może nawet oburzeniem. Już tylekroć ta sprawa była poruszana na łamach prasy, tylekroć była przedmiotem „wesołych kącików", dowcipnych artykułów „pod włos", „czy wiecie, że..." — więc chyba, powie czytelnik, dość tej „martyrologii" nad imiennictwem geograficznym Ziem Odzyskanych. Obawiałem się w tej sprawie zabierać głos, tym bardziej, że na głowy członków „Komisji Ustalania Nazw Miejscowych" sypią się gromy, czyli, po prostu powiedziawszy, powiedzonka w rodzaju: „rozumie się, że i tę nazwę zmieniono", „kto mógł coś podobnego wymyśleć, jak O t m u c h ó w przez **t**, zamiast O d m u c h ó w przez **d**, przecie mamy d m u c h a ć, a nie t m u c h a ć!" Te i tym podobne głosy dyletanckie podważają autorytet komisji, której członkowie w trosce o **należyte** imiennictwo geograficzne ustalili około 11.000 nazw na Ziemiach Odzyskanych, czyli miejscowości mające od 100 mieszkańców wzwyż. **Każdy** bowiem ma tu coś do powiedzenia. **Każdy** zna się na toponomastyce. **Każdy** chciałby być ojcem chrzestnym danej miejscowości. Słowem z n a c h o r z y mnożą się, jak grzyby po deszczu.

A ponieważ trudno lekarzowi znaleźć wspólny język w rozmowie ze znachorem, więc i językoznawcy - toponomaści niechętnie odpowiadają na różne dyletanckie zaczepki, gdyż rzadko kiedy ich **fachowe** objaśnienia są **należycie** zrozumiane. Ukazała się jednak nakładem „Instytutu Mazurskiego" praca, która może służyć za przykład, jak należy rozumieć n a l e ż y t ą pomoc niejęzykoznawców przy ustalaniu nazw miejscowych. Mam na myśli: „SŁOWNIK NAZW MIEJSCOWYCH OKRĘGU MAZURSKIEGO" cz. I. Olsztyn 1947, opracował **Gustaw Leyding - Mielecki,** rodowity Mazur, pochodzący z Labuszewa w pow. szczycieńskim. I dlatego zabieram jeszcze raz głos w sprawie nazw miejscowych na łamach „Odry", będącej ekranem życia kulturalnego nie tylko Ziem Zachodnich, ale interesującej się też całokształtem spraw ZIEM ODZYSKANYCH, ponieważ Odra-Wisła — to prastara węź hydrograficzno-polityczna.

Toponomastyka okręgu mazurskiego, b. Prus Wschodnich, obecnie POMORZA MAZOWIECKIEGO (wolałbym termin POMORZE MAZURSKIE) cieszyła się w porównaniu z innymi regionami Ziem Odzyskanych największym zainteresowaniem. W latach bowiem konspiracji na przekór koszmarnej rzeczywistości zarówno z inicjatywy prywatnej, jak i tajnie działających Instytutów: Bałtyckiego, Śląskiego i organizującego się Zachodniego, przygotowywano się do objęcia tych ziem związanych historycznie z Polską przez zbieranie rodzimych nazw miejscowych. Okręg mazurski pociągnął niejednego badacza. Po wojnie kilku autorów miało gotowe skorowidze miejscowości b. Prus Wschodnich. Niektórzy z nich jeszcze przed wojną zbierali materiały toponomastyczne. I tak przygotował odpowiednią kartotekę nazw miejscowych z obszaru b. Prus Wschodnich prof. **B. Olszewicz.** Już w 1938 r. powziął myśl opracowania „Słownika polskich nazw miejscowych w b. Prusach Wschodnich", **W. Chojnacki,** autor tegoż słownika, który ukazał się w 1946 r. nakładem „Instytutu Zachodniego". W 1945 r. wydał w Cieszynie dr **L. Kohutek** „Słownik nazw miejscowych Pomorza Mazurskiego". A obecnie wyżej wspomniany **G. Leyding - Mielecki** swój skorowidz.

Autor we wstępie powiada, że praca jest wynikiem długoletnich badań w tej dziedzinie jeszcze z czasów jego działalności przedwojennej na tym terenie. Pomimo, że nagromadzony wówczas materiał został przez okupanta zniszczony, to jednak, powróciwszy po przymusowej wojennej tułaczce do swych stron rodzinnych, zabrał się ponownie do opracowania odnośnego słownika. Niewątpliwie bodźcem do zbierania tych nazw była masowa masakra w czasach hitlerowskich polskiego imiennictwa geograficznego.

Kłamał bowiem autor niemiecki, **H. Kerrinnis,** piszący w 1942 r. o zmianie nazw miejscowych na terenie b. Prus Wschodnich a twierdzący, że Niemcy okazywali dawniej „zadziwiającą wielkoduszność" w zachowywaniu na wschód od Łaby i Sali nazw o brzmieniu słowiańskim. Zapominano — powiada Niemiec — że nazwy miejscowe mają znaczenie polityczne i nie dbano o tę sprawę nawet na zagrożonych obszarach granicznych. Tymczasem **po 1918 r. akcja germanizacyjna na polu toponomii stała się w czasach „demokratycznych" Niemiec stresemanowskich systematyczna i planowa, a w latach hitleryzmu przeobraziła się w masakrę polskich nazw miejscowych.**

Kłamał zatem też inny autor niemiecki, **F. Gause,** który w 1935 r. oburzał się na rzekome kłamstwa prasy polskiej, twierdzącej, że władze niemieckie przeprowadzają planową germanizację nazw miejscowych, aby zatrzeć polskie wpływy w Prusiech Wschodnich. A przecież same cyfry o tym mówią. W rejencji olsztyńskiej między 1920 — 34 rokiem zniemczono 147 nazw miejscowych; w czasach hitlerowskich, głównie w 1938 r. 28 % nazw otrzymało nowe nazwy niemieckie. Ten „wybitny kulturalno-polityczny wyczyn władz" w prowincji gąbińskiej dotknął aż 61 % nazw.

Wobec takiego zacierania śladów odwiecznych związków ziemi mazurskiej z Macierzą nie dziw, że syn ziemi mazurskiej, autochton **G. Leyding - Mielecki** zatroszczył się o sumienne, mozolne i z umiłowaniem tej ziemi przeprowadzone nagromadzenie nazw, przez ludność miejscową używanych.

Niewątpliwie do wykończenia tej pracy nielada bodźcem była dla niego zachęta ze strony b. założycielki i kierowniczki Muzeum Mazurskiego w Działdowie, a obecnej dyr. „Instytutu Mazurskiego" w Olsztynie, **Emilii Sukertowej-Biedrawiny,** która do podobnej pracy zachęcała w 1938 roku **W. Chojnackiego,** autora wyżej wspomnianego „Słownika polskich nazw miejscowych".

Praca G. Leyding-Mieleckiego wyszła jako nr 1 „Prac Instytutu Mazurskiego w Olsztynie". Ma ona swoją wagę z dwu względów: 1. sumienne, skrupulatne nagromadzenie materiału, **zebranego z ust miejscowego polskiego ludu;** 2. skonfrontowanie tak zebranego materiału z bogatą literaturą historyczno-toponomastyczną (stare mapy, skorowidze itp.). Inni autorowie (Chojnacki, Kohutek) nie mogli zebrać materiału na podstawie autopsji. Ponadto omawiana praca przewyższa tamte bogatszą literaturą źródłową.

Rozumie się, że dla językoznawcy - toponomastyka **współczesna polska rzeczywistość językowa** jest decydująca przy ustalaniu nazw miejscowych na Ziemiach Odzyskanych. Odnośna ministerialna „Komisja" kieruje się bowiem następującymi kryteriami: 1. pierwszeństwo mają nazwy używane przez ludność autochtoniczną; 2. na miejsce nazwy niemieckiej rekonstruuje się nazwę polską na podstawie **materiału historycznego;** 3. z braku aktualnej nazwy polskiej i materiału historycznego konieczny jest chrzest, dokonywany według wszelkiego **rytuału językoznawczego,** tj. według przepisów morfologii języka polskiego. To jest piętą achillesową chrztów. Dlatego **„vox populi"** powinien zrozumieć, że nie każdy powołany jest do wykonywania obrzędu chrztu. **Licajce, Lipiszk** i inne śląskie potworki toponomastyczne — to „dzieci nieprawego łoża".

Omawiana praca Leydinga-Mieleckiego jest cenna ze względu przede wszystkim na punkt 1. Autor skrupulatnie zarejestrował ostałą rzeczywistość językową.

Nomenklatura geograficzna b. Prus Wschodnich ze swoimi nazwami staropruskimi, litewskimi, niemieckimi, pierwotnie polskimi i wtórnie polskimi jest biegunowo odrębna od imiennictwa geograficznego Śląska czy Pomorza. A zatem trudności przy ustalaniu nazw tego terenu może były największe. Dzięki temu, że w komisji znaleźli się ludzie bądź to doskonale obeznani z terenem (prof. **K. Nitsch,** prof. **S. Srokowski,** przewodniczący „Komisji Ustalania Nazw Miejscowych" oraz **G. Leyding-Mielecki,** przedstawiciel „Instytutu Mazurskiego" na zebraniach komisji w Ministerstwie Administracji Publicznej), bądź też specjalista toponomasta (prof. **W. Taszycki)** i znawca języków bałtyckich (prof. **J. Safarewicz),** nazwy tego terenu doczekały się należytego ustalenia.

Orzeczenia komisji, pomimo że nieraz były radykalne, usuwające używane przez ludność autochtoniczną od dawna nazwy **(Lec — Giżecko, Rastembork — Kętrzyn, Ządzbork — Mrągowo, Węgobork — Węgorzewo),** utarły się w życiu publicznym, kulturalnym i codziennym. Tymczasem na Śląsku mędrkowanie i opór opóźniają przyjęcie się poprawnych, ustalonych przez komisję nazw (por. **Prudnik — Prądnik, Szczawno Zdrój — Solice Zdrój, Polanica — Puszczyków, Przesieka — Matejkowice** itp.).

(Dokończenie na str. 3)



Jezioro Dadej w dzień Fot. Z. Drzewicki.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

Sprawy niemieckie w polityce angielskiej

Podczas wiosennej konferencji w Moskwie, w której brali udział przedstawiciele czterech państw, okazało się, że rozbieżność zdań sprowadza się zasadniczo do trzech kwestii, między dwoma partnerami. Partnerami są mocarstwa anglosaskie i Z. S. R. R., a kwestie, co do których nie zdołali uzgodnić swoich poglądów, dotyczą:

1) reparacji z bieżącej produkcji Niemiec dla Z.S.R.R.,

2) decyzji o przyszłym ustroju Niemiec,

3) uznania Odry — Nysy jako ostatecznej granicy Niemiec na wschodzie.

We wszystkich tych zagadnieniach, podjętą dyskusji były Niemcy i ich rola w przyszłej strukturze Europy.

Tak się osobliwie złożyło, że w obradach toczących się w Moskwie ta sama Wielka Brytania, która przystąpiła do wojny w roku 1939 w obronie Polski — reprezentowała interesy Niemiec, podczas gdy Związek Radziecki brał stronę Polski, a także Jugosławii. Wielka Brytania zastrzega się wprawdzie, że „Mr. Bevin i Mr. Marshall reprezentują interesy Niemiec tylko o tyle, o ile pokrywają się one z interesami Europy" („Spectator" 3 maja), ale już dawno minister Mołotow zauważył (z okazji dyskusji nad sytuacją żywnościową Europy), że Europa nie stanowi jedności politycznej, w imieniu której można by występować. Wielka Brytania coraz częściej jednak wykazuje tendencje do traktowania Europy jako pewnej potencjalnej całości. Kwestia przyszłości jednego z państw europejskich nie jest więc według opinii brytyjskiej zagadnieniem samodzielnym, lecz jednym z elementów zbiorowego losu Europy, z którym Wielka Brytania jest — jak nigdy przedtem — związana. Sebastian Haffner — pod którego pseudonimem ukrywa się jeden z najwybitniejszych publicystów angielskich, wyraził się, że pokój Europy opiera się na stałych relacjach pomiędzy Wielką Brytanią, Francją, Niemcami i Polską. Natomiast stabilizacja stosunków między Niemcami i Polską jest trudna do zrealizowania od czasu „uchwał w Poczdamie z granicą polsko-niemiecką na Odrze i Nysie i wszystkimi z tego wynikającymi konsekwencjami" („First Spring of Peace" — Contact Book). Na to, ażeby zrozumieć doniosłość przyszłego ustroju Europy dla Wielkiej Brytanii, trzeba sobie uprzytomnić, że Imperium Brytyjskie, w swojej obecnej strukturze stało się niemożliwe do utrzymania i, że Wielka Brytania z konieczności musiała przenieść swoje zainteresowania na Europę, która zorganizowana jako jednostka polityczna mogłaby zastąpić rozpadający się Brytyjski Commonwealth. Ponadto przy dzisiejszej technice wojennej gwarantami niepodległości Wielkiej Brytanii nie mogą być jej posiadłości zamorskie, tylko Europa, której część stanowi, jako że kanał La Manche nie jest żadną barierą. Na wypadek nowej wojny Anglia nie tylko podzieli los Europy, ale „będzie pierwszą ofiarą głodu i bomby atomowej", (Statesman and Nation" z 3 maja bież. roku). Tak więc przyszłość i pokój Europy decyduje w znacznie większym stopniu o przyszłości Wielkiej Brytanii niż np. U.S.A. lub Z.S.R.R., których polityka dzięki strukturze geograficznej i politycznej jest oparta na o wiele realniejszych podstawach. W koncepcji Wielkiej Brytanii Niemcy są jak gdyby jednym z członków nieistniejącej dotychczas federacji europejskiej, którego Anglia pragnie zapewnić dobrobyt, ale wcale nie rząd centralny, zdolny do podejmowania samodzielnych decyzji.

Jak dotąd okupacja Niemiec jest ciągle dla Wielkiej Brytanii deficytowa i zdaje się, że nawet fuzja strefy brytyjskiej z amerykańską nie wiele poprawiła ekonomiczną sytuację:

„W praktyce złanie obu stref w jedną zrobiło strukturę Niemiec o wiele bardziej skomplikowaną niż przedtem. Przed fuzją w każdej strefie był tzw. „Military Government" mocarstwa okupującego, działający w oparciu o własny autorytet i częściowo o komisję kontrolną w Berlinie, oraz administrację niemiecką. Zarówno brytyjska jak amerykańska strefa są podzielone każda na 3 Lander (strefa brytyjska: Północna Westfalia, Saksonia i Szlezwik - Holsztyn wraz z Hamburgiem; strefa amerykańska: Bawaria, Wirtembergia, Badenia, Hesja i Brema). — Problem fuzji wywołał konieczność stworzenia nowych organów zarówno po stronie alianckiej, jak niemieckiej. Ze strony Military Government został wyznaczony w każdym urzędzie jeden oficer amerykański i jeden angielski, których współpraca okazała się zupełnie zgodna. Niestety nie da się powiedzieć tego samego o relacjach między Alianckimi Rządami Wojskowymi (Allied Military Governments) a niemiecką administracją. Zasadniczy błąd polega na tym, że tzw. German Executive Committees powołane dla obydwu stref stoją w sprzeczności z niemiecką administracją lokalną dla poszczególnych ośmiu „Länder". Mamy tu wypadek autonomii lokalnej versus kontroli i planizacji centralnej. Amerykanie zgodnie ze swoją tradycją popierają południowo-niemiecki separatyzm i są za bardzo luźną federacją poszczególnych stanów, ale chociaż każdy z ich argumentów może być sam w sobie przekonywający, nic nie może zmienić faktu, że w polityce ekonomicznej samolubne gospodarowanie własnymi zapasami zamiast centralnej i jednolitej planizacji nie pozwoli Niemcom — lub powiedzmy Zachodnim Niemcom — podnieść się z chaosu i utrzymać samodzielnie nie będąc ciężarem dla mocarstw okupujących" („The Economist" z 26 kwietnia).

Z tych wypowiedzi widzimy, że Wielka Brytania z jednej strony nie chce dopuścić do pauperyzacji i jeszcze większego obniżenia standartu życiowego Niemiec, a z drugiej nie jest w stanie ich dłużej utrzymywać. W konsekwencji więc sprzeciwia się reparacjom z bieżącej produkcji Niemiec na rzecz Związku Radzieckiego i przesiedleniu Niemców z Polski. Troska o Niemcy przesłania jej w ten sposób cały szereg innych ważniejszych spraw.

Deficytowa gospodarka Niemiec jest również jedną — ale nie jedyną — przyczyną, dla której popiera ona wniosek Marshalla o rewizji wschodniej granicy Niemiec. Oczywiście Wielka Brytania nie wysuwa w roli argumentu swojego budżetu, tylko dobrobyt i pokój Europy. (?!)

„Polska powinna otrzymać kompensatę w skali największej, jak to jest możliwe; powinna dostać kopalnie i przemysł. Lecz nic nie przemawia za tym, żeby ten kraj jako rolniczy kraj otrzymał terytoria, które produkowały jedną piątą żywności Niemiec przed wojną. Gdyby ludność Europy miała wszystkiego pod dostatkiem kwestia ta byłaby tylko tragedią dla Niemców. Lecz cała Europa jest głodna i w ostatniej potrzebie, cóż może być większym absurdem jak sztucznie stworzyć tę potrzebę przez zmianę granic i masowe deportacje, które w rezultacie stwarzają straszliwe przeludnienie i głód w Niemczech, a puste wioski i pola leżące odłogiem w Polsce?" („Tribune" z 9 maja). To co całą Wielka Brytania przypomina sobie wprawdzie, że granica Odry — Nysy została „ostatecznie zatwierdzona przez Wielką Trójkę", ale „Polska zrobiłaby dobrze, gdyby zgodziła się na rewizję granicy, która na ogół nie była brana w rachubę przy politycznych rozmowach Wielkich Mocarstw w r. 1945, a najlepiej zrobiłaby, gdyby poszła na pewne koncesje wobec propozycji Mr. Marshalla" („The Economist" z 3 maja).

To, że Mr. Marshall ma małe, albo nie ma wcale zrozumienia dla komunikatów wojennych z r. 1158 (— kiedy to Fryderyk Barbarossa napisał, że „Przekroczyliśmy wraz z całą armią rzekę Odrę, która niczym mur otacza Polskę i, zaganiając biskupstwa poznańskie i wrocławskie ogniem i mieczem spustoszyliśmy kraj" — jest zrozumiałe, gdyż — pisze „The Economist" — w oparciu o wiek XII Stany Zjednoczone nie miałyby w ogóle prawa egzystencji, dlaczego jednak „Polska zrobiłaby najlepiej", gdyby zgodziła się na rewizję granicy Odry-Nysy, tego autor artykułu jakoś nie wyjaśnia.

Lektura prasy angielskiej upewnia nas w jednym: że Anglia stawia na Niemcy, że nie rozumie ani interesów Polski, ani interesów Europy, przeciwko której właściwie zwrócona jest polityka odbudowy Niemiec.

JADWIGA ŻYLIŃSKA.

Co robią Niemcy

„Kolaboracja" Tomasza Manna a otchłanie duszy niemieckiej, w które autor „Czarodziejskiej góry" patrzy okiem sprawiedliwego sędzi.

WIADOMOŚĆ o własnoręcznym liście Tomasza Manna do ministra hitlerowskiego z prośbą o umożliwienie powrotu do Niemiec wywołała wśród polskich zwolenników autora „Czarodziejskiej góry", tak zaszczytnie wyróżnionej przecież niedawno w plebiscycie „Kuźnicy", zrozumiałe wrażenie. Otrzymaliśmy kilka listów, w których czytelnicy, uważają wiadomość tę za zwykłą plotkę, spreperowaną przez Niemców, niechętnie wysłuchujących antyniemieckich kazań Tomasza Manna. Teraz możemy już z całą pewnością powiedzieć, że wiadomość ta jest prawdziwa: odnalazł się bowiem tekst listu Tomasza Manna do ministra Fricka, ogłoszony w tych dniach na łamach monachijskiej „Die neue Zeitung".

LIST napisany został na wiosnę roku 1934 i końcowy jego ustęp brzmi: „Proszę Ministerstwo Spraw Wewnętrznych o upoważnienie Generalnego Konsula w Zurychu do odnowienia mi zaświadczenia obywatelstwa niemieckiego, nadto proszę Reich o polecenie odpowiedniemu urzędowi monachijskiemu zwolnienie spod konfiskaty pozostawionego tam przeze mnie majątku. Nie tyle z praktycznych względów o to proszę — aczkolwiek i one tu decydują — ile z idealistycznych, ze względów honoru: nie jest bowiem życzeniem moim i oznaczyłoby tylko sfałszowanie mojego losu, — owe życie w nieszczęsnej rozterce z moim krajem oraz poczucie, że w oczach świata z takiego stanu również i Niemcy nie wyciągnęły by żadnych dla swojego honoru korzyści". Uzasadniając swoją prośbę dalej Tomasz Mann przyznaje, że bynajmniej nie wypiera się swego „wewnętrznego wrodzonego negatywnego stosunku do narodowo-socjalistycznych pojęć państwa i świata", ale że odkąd „historia przemówiła" milczy, a teraz zdecydowany jest „zrezygnować z wszelkich oficjalności" i „w zupełnym odosobnieniu" żyć dla osobistych celów i zadań. Konieczność życia na emigracji jest dlań ciężkim wstrząsem, ale swoje „pozostawanie na zewnątrz" uważa nie „jako stałą rozłąkę z ojczyzną, lecz jako epizod nakazany przez los, jako urlop z narodowej gromady, dany mu na nieokreślony ale umiarkowany czas".

TAK to dyskusja w sprawie zamierzonej „kolaboracji" Tomasza Manna zakończyła się. Teraz już tylko chodzi o to, w jaki sposób będziemy wykładać i rozumieć tendencje Mannowskiego pisma. Jest rzeczą jasną, że Niemcy wykładają je nieprzychylnie dla pisarza. Mann zaś siedzi wciąż jeszcze w Szwajcarii i stamtąd śle swoje niejasne i kompromisowe sprostowania do prasy niemieckiej, jeśli w niej spotyka ataki. Szwajcarskim przedstawicielom prasy oświadczył, iż został obywatelem amerykańskim, gdyż „Ameryka jest jak Uniwersum, jednoczy w sobie wszystko co ludzkie i pozwala na wszystko co ludzkie". Wciąż jednak wierzy w przewagę kultury europejskiej. Za najwybitniejszych pisarzy współczesności uważa Bernharda Shawa, André Gide'a oraz siebie, Tomasza Manna.

TRUDNO jednak nie przyznać racji Tomaszowi Mannowi wtedy, kiedy strofuje naród niemiecki nazywając go narodem, wydającym permanentnych zbrodniarzy, żyjącym ciągle jeszcze w oparach zbrodni, a w każdym razie będącym jej sprzymierzeńcem. Doskonałą ilustracją do tych jego wywodów jest sprawa 9 policyjnego batalionu rezerwy ze Szpandawy. Jak wiadomo Rosja Sowiecka zażądała wydania członków tego batalionu, którzy w ciągu pół roku, od lipca do grudnia 1941, wymordowali w Rosji na tyłach wojsk niemieckich blisko 100.000 cywilnej ludności. Rozpoczęło się w Niemczech poszukiwanie szpandawskich zbrodniarzy. Ale naród niemiecki postarał się już o to, by nie został wydany Rosji ani jeden oficer wspomnianego batalionu. Najgrubszą szyszką, którą udało się odnaleźć w Niemczech, był szef kompanii Bruno Fuchs. Tymczasem oficerowie w batalionie tym sprawowali władzę sięgającą niejednokrotnie — tak jedynie da się wytłumaczyć spowiedź wydanych zbrodniarzy — w irracjonalne pokłady myśli poddanych sobie żołnierzy.



Francuzka, przybyła na grób swego męża, zamordowanego w Dachau



Mr French rozdaje własnoręcznie paczki żywnościowe CARE na ulicach w Dachau

WYDANI Rosji szpandawczycy jako jedyne usprawiedliwienie podają dyscyplinę i obowiązek posłuchania i wykonania rozkazu. Befehl ist Befehl! Na rozkaz, wyrywający ich z zasłużonego spoczynku, — jak skarży się Paul Popp — po całodziennej obławie w okolicznych wsiach do nocnej pacyfikacji sąsiedniej okolicy brali broń, na rozkaz wymierzali bagnetem rozmiary masowego grobu — Paul Popp podaje siebie za „gospodarza grobu" (Grabwirtschaftler), który w wykopanym masowym grobie „przydzielał miejsce" ofiarom — na rozkaz palili zagrody. „Berliner Zeitung" wymienia zawód poszczególnych członków batalionu. — Nie było wśród nich żadnych zawodowych kryminalistów, wszyscy rekrutowali się spośród normalnych drobnomieszczańskich Niemców, — buchalterzy, kelnerzy, urzędnicy policyjni, piekarze, dorożkarze, adwokaci. Gazeta berlińska pisze z tej okazji o niemieckiej tragedii. Tragedia ta, zdaniem jej, polega na tym, że wszyscy ci, w życiu cywilnym dobrzy Niemcy, a nie żadni kryminaliści, po ubraniu munduru i ustawieniu się przed oficerem, tracili wszelkie, choćby tylko szczątkowe poczucie moralności, ludzkości i odpowiedzialności przed samym sobą. Stawali się posłusznymi narzędziami, kryminalistami gorszymi od zawodowych, bo wykonującymi przestępstwa bez udziału własnej myśli. Befehl ist Befehl!

SZEF kompanii Bruno Fuchs przy przesłuchaniu zaprzecza zdecydowanie, jakoby miał zastrzelić własnoręcznie 1200 ludzi. Według jego obliczeń — „a pamięć posiadam dobrą" chwali się — było ich tylko 800. Również gospodarzący miejscem w grobie masowym, wydający rozkazy w rodzaju: „Następnych dwudziestu ustawić się!", Paul Popp, obdarzony według jego własnych słów w śledztwie „naturą niezwykle delikatną i czułą" nie przyznaje się do zarzucanych mu 38 mordów, doliczając się tylko 25 własnoręcznie zabitych ofiar.

OTCHŁANIE i mroki duszy niemieckiej studiować można tylko na tego rodzaju procesach. Szkoda, że prasa całego świata przestała się interesować różnego rodzaju procesami, toczonymi bez ustanku na terenie Niemiec. Skoro dotychczasowy sposób podawania sprawozdań z owych procesów nużył czytelnika, mającego dosyć już zbrodni, należało znaleźć inny sposób informacji, od którego czytelnik nie uciekał by więcej. Był to przede wszystkim obowiązek prasy polskiej. Szpandawski batalion jako zbiór przeciętnych Niemców pozwala na daleko idące spostrzeżenia na temat charakteru niemieckiego i wykazywanej przez niego predyspozycji do zbrodni w odpowiednich warunkach. Jest rzeczą jasną, że celem wychowania Niemiec może być tylko uniemożliwienie powstawania warunków, w których rodzi się zbrodnia niemiecka. Ale dlatego tym bardziej nie należy uciekać od poznawania zbrodni.

WISZ.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Bój o świcie

Fragment z powieści „Po kamień co w ogniu gore".

Akcja powieści rozgrywa się w I w. po Chrystusie. Drukowana na tym miejscu opowieść starca odnosi się do czasów jeszcze wcześniejszych.

Wielki ród Ślężan u rzeki Ślężej od wieków żywie. Ślęga się kręto rzeka śród barzy, ku Wiedrze uchodzi, a źródła jej u góry wysokiej, co nad równiną kopicą się wznosi. Żywią Ślężanie na ostrowach, na chełmach. Tam ich sioła i niwy.

W oną porę wszystkie rody w dolinie żyjące nieśli ciężkie jarzmo.

Przyszli razu jednego do sioła Ślężan Niemce po dań. Pognali skot, powieźli łupież, ziarno, miód, ale jeszcze przez sioło idący wpadali do domów i co im się widziało, grabieżcy porywali.

Zlubiła się Niemcowi, który drużynę wiódł, Sulisławowa żena, młoda a wielmi kraśna. Przykazał drużynie brać Sulisławową niewolą.

Nie zdzierżał Sulisław sromoty. Wyrwał siekierę ze ściany, palnął Niemca między oczy, aże do szczęki mu łeb rozłupał. Ubił napastnika i, machając krwawą siekierą, przez sień jak wicher przemknął. Wyskoczył między opłotki a Niemce za nim.

Na krzyk, co u Sulisławowego domu się zrobił, zbieżeli się ludzie. Nie z gołymi rękoma: kto widły, nóż, ożóg imał, kto z płotu żerdź wyłamał.

Obstąpili Niemcową drużynę, ubili wszystkich. Dwu ledwie uszło, za opłotkami się kryjąc. Na bliskim pastwisku dopadli koni i pocwałowali ku Świdnicy.

Pognali za nimi pasterze co koni strzegli.

W siole u Ślężan gwar, przechwałki.

Zebrali męże oręż niemiecki, wywlekli ubitych na pole i tam, jamę głęboką wyrywszy, nakładli ciała wrogów ciasno, zasypali, udeptali, że i nie odgadnąć gdzie niemiecka mogiła.

Na ten czas wrócili pasterze z pogoni.

— Uszli psubraty!

Zasępiły się lica starszyzny.

— Nie siego dnia, tedy na jutro mstę za ubitych brać przyjdą, — rzecze stary Dan staroście.

Długo wiatała starszyzna. Aże wstał starosta Daćbóg, pięścią w stół uderzył.

— Dokądże mamy igo cierpieć? Dokąd dań ciemiężycielom Niemcom dawać? Nie dość li sromoty!

Tako rzekł starosta Daćbóg i przykazał:

Kto wielce star ujdzie z żenami i dziećmi na ostrowy. Skot także ugonią. Powiedzie ich Dano. Znane mu są wszystkie przechody przez trzęsawicę. Tam na ostrowach Dan im za starostę będzie. Młódź do raci sposobna z nim, starostą Daćbogiem, ostanie. Pójdą społem na górę, okopią się, osieką, będą na wroga czatowali.

Rozbieżeli się ludzie do domów swoich. Kto jakie bogactwo miał, a nieść go na ostrowy nie osili, w miejscu tajnym skarb zakopał. Pod drzewem znacznym w lesie lub i na płoninie, wielkim kamieniem przywalając dla pamięci.

Kiedy uszli starce, żeny i czędo, wysłał starosta brata swego Sulisława z dozorem na zwiady, żeby z gąszcza na Niemcowe włodania poglądali. Potem przykazał wszelaki oręż do siebie znosić, na ziemi przy jego domu kłaść.

Nieśli ludzie oszczepy miedziane, ościenie, sulice, łuki, tuły ze strzałami, młoty kamienne i miedziane, krabule plecione, palice w ogniu żżone. Noży długich jednosiecznych nanieśli, ale wielmi mało. Mało i siekier a oszczepów żelaznych.

Nie bogaci w on czas byli Ślężanie orężem!

Podzielił Daćbóg oręż między raciędze swoje. Kto chrobry, temu oręż lepszy. Podzieliwszy powiódł na górę, gdzie okopać się mieli.

Siedzieli w tę porę Niemce w Świdnicy, na chełmie za barzą. Drzewiej sioło to Jaworowego rodu było, ale przyszli Niemce, pognali ich i sami tam siedli. Gród krzepki wybudowali. Jawory zaś uszli w góry i tam odtąd żyli.

Minął dzień, dwa, aż trzeciego w półdnie przyszedł wój jeden z dozoru od Sulisława do starszyzny ślężańskiej i rzecze, że zbierają się Niemce. Mnogo ich ze Świdnicy idzie.

Do nocy obchodził starosta Daćbóg okop. Gdzieniegdzie kazał głębiej ryć, zasieki poprawić. Z zarania bystro chełm ostrożyli. Bili ostrokół gęsto. Kiedyby ich z niziny pognali Niemce, tu się zawrą. Tu i źródło było.

Jeszcze dwa dnie minęły. Na stósty dzień świtaniem przybieżał sam Sulisław ze swoimi ludźmi.

— Idą! rzecze. — Idą Niemce! Mnogo ich, wielka siła . . . Na połdnie będą.

Zaczaili się Daćbogowi raciędze za zasiekiem. Ni słychu, ni widu. Stoi góra jako i pierw stała, na górze las, w gąszczu okopu nie znać.

Z brzegu, od strony skąd Niemców czekali, ostroża na wysokich drzewach siedzą. Widać im wszystko aż po kraj nieba.

Wyszli Niemce z gąszcza na płoniny. Zaroiła się od nich nizina. Idą czetami. Minęli górę. Obstąpili sioło ślężańskie ze wszech stron, tedy z kliczem bojowym ku niemu pobiegli.

Kiedy sioło puste naleźli, wezbrała w nich wielka lutość. Podpalili sioło.

Porwali się Ślężanie do biegu, jeno nie dał im starosta za okóp wyjść, bo na czystym nierówna była siła. Mniej Niemców, ale oręż niemiecki lepszy. Noże długie, żelazne, dwusieczne, żeleźca oszczepów szerokie, krabule żelazem okute.

Między Wschodem

Znakomity krytyk czeski Wacław Czerny w swoim „Kritickym miesiczniku" opublikował rozprawę pod tytułem „Między Wschodem a Zachodem". Uważam, że poglądy tam sformułowane są dla społeczeństwa polskiego bardzo aktualne i dlatego przytaczam je poniżej w skrócie, opuszczając to, co ma charakter wyłącznie lokalny, czeski, a podkreślając zagadnienia interesujące w równej mierze Polskę jak i Czechosłowację. Mają te dwa państwa w swym życiu narodowym wiele problemów wspólnych. A chyba na pierwszy plan wysuwa się tu zagadnienie „wschód czy zachód". Rozprawa W. Czernego jest próbą syntezy, szukaniem drogi łączącej oba ogniska kulturalne. (Trzeba zaznaczyć, że autor zajmuje się tu kulturalną a nie polityczną stroną tego zagadnienia.) Syntezy tej powinno szukać również społeczeństwo polskie. W ostatnich latach wojny i w czasach powojennych zaznaczyło się wyraźne rozdwojenie narodu polskiego — właśnie w kierunku na wschód i na zachód. A trzeba przyznać, że rozdwojenie to przyniosło wiele trudności i komplikacji, wywołało rozstrój, hamowało normalny bieg życia narodowego. Trzeba więc szukać drogi innej.

A jest jeszcze drugie memento, które dla narodu czeskiego wypowiada W. Czerny: „Mamy w tej chwili w świecie stanowisko narodu uprzywilejowanego, będąc — obok straszliwie wyczerpanych Polaków — jedynym narodem kultury wyraźnie zachodniej, wchodzącym ostatnio w sferę zdecydowanego polityczno-kulturalnego wpływu rosyjskiego. Zagadnienie syntezy możemy, — więcej nawet — musimy rozwiązać pierwsi... Jest to, powtarzam, wielki historyczny przywilej. Jest to zarazem niezmiernie trudne zadanie." Stwierdzenie to, jak zresztą sam autor zaznacza, odnosi się również i do Polaków. Spróbujmy więc z Wacławem Czernym szukać rozwiązania tego zagadnienia na polu kulturalnym. „Regularnie i już niemal od niepamięci problem naszej orientacji kulturalnej stawiany bywa u nas ze zdecydowaną krańcowością, a to następująco: Wschód czy Zachód, a pierwsze zdaje się wykluczać drugie.

A więc, ad vocem Wschodu! Rozumiemy przez to zawsze w węższym tego słowa znaczeniu Rosję, w szerszym — Słowiańszczyznę... Nie trzeba tu w ogóle podkreślać faktu, że przy zmianie polityczno-potencjalnej konstelacji, której świadkami obecnie w Europie jesteśmy ta rosyjska orientacja naszych zainteresowań kulturalnych jest wręcz konieczna, zasadniczo konieczna i korzystna. Nie chcemy nawet specjalnie przypominać, że taka orientacja jest nakazem naszej wdzięczności, oczywistym zobowiązaniem naszej publicznej kulturalnej przyzwoitości."

W dalszym ciągu swych rozważań Czerny mówi, że szczera, prawdziwa i wszechstronna wzajemność kulturalna czesko-rosyjska ma głęboką tradycję, stała się czymś naturalnym od kilku już wieków. Kulturalne stosunki polsko-rosyjskie nie były tak szerokie. Wpłynęły na to decydująco niesprzyjające warunki polityczne. Tym więcej jednak aktualne są dla nas dalsze wywody czeskiego krytyka, w których bierze on pod uwagę fakt, że obecnie przypływa do nas wysoka fala kultury rosyjskiej, głównie w formie twórczości literackiej. Czerny nie boi się jej. Ufa, że krytyczny umysł czeski wybierze z niej to, co ma prawdziwą, trwałą wartość. A u nas krytyczne nastawienie w tym kierunku jest chyba u dużej części społeczeństwa jeszcze bardziej wyostrzone niż w Czechosłowacji. „Nie lękam się z góry — pisze W. Czerny — powodzi przekładów z języka rosyjskiego ani pilnych usiłowań pośredników i propagatorów, którzy z nowej literatury sowieckiej nie darują niczego, nawet artystycznie bezwartościowej „agitki". Nie zapominajmy zresztą, że jeszcze do niedawna na głównej naszej scenie narodowej nie umieliśmy sobie darować ani jednej porcji owej najbardziej koniunkturalnej paryskiej kuchni dramatycznej. Jestem nawet skłonny powiedzieć w tej sprawie: im więcej, tym lepiej. Przede wszystkim dlatego, że jestem zdecydowanym zwolennikiem zupełnie wolnego i nieograniczonego kulturalnego importu i międzynarodowej wymiany kulturalnej, zawsze i wszędzie, choćby nawet z rzeczą wartościową prześliznęła się i bezwartościowa. Następnie dlatego, że znam swych rodaków i wiem, że czeski czytelnik jest pod względem kulturalnym konsumentem zadziwiająco ciekawym i niemal nienasyconym: ma to swoje minusy, ale ja, który z bliska poznałem i inne środowiska czytelnicze, widzę głównie plusy i korzyści. Czeski czytelnik c h c e po prostu w s z y s t k o poznać, niechże to zatem ma! Ogólnie biorąc, wierzę w jego krytycyzm a ten wyrabia się najlepiej właśnie przez wielką i rozległą praktykę czytelniczą."

Czerny konstatuje zatem, że łączność kulturalna ze Wschodem jest silna a wobec ostatnich przeobrażeń politycznych jeszcze bardziej się potęguje. W dalszym ciągu rozpatruje wpływ kulturalny Zachodu na Czechy.

„Ad vocem Zachodu obecnie! W węższym tego słowa znaczeniu rozumiemy znowu przezeń samą Francję, jako najznakomitszą kolebkę tzw. zachodniej kultury a w każdym razie jako kraj, z którego czerpaliśmy najczęściej i najchętniej; w szerszym słowa znaczeniu myślę również o Anglii i o pozostałych ziemiach łacińskich. Dalej jest faktem, że u nas — jak choćby właśnie i w Rosji — zwolennicy Wschodu zawsze patrzeli z góry na occydentalistów a zwolennicy Zachodu na wschodniozorientowanych. Większe znaczenie ma tu dla nas to, co by ad vocem czeskiej orientacji zachodniej mógł powiedzieć człowiek bezstronny, który by na czeskiej glebie nie był ani zwolennikiem Zachodu ani Wschodu, ale po prostu i głównie — Czechem.

A więc, mógłby tylko stwierdzić, że jesteśmy w samej istocie swej kultury narodem zdecydowanie i par excellence zachodnim, oraz że ten fakt nie może podlegać dyskusji ani ulec cofnięciu. W dziewiątym wieku nastąpiło na naszym terenie starcie chrześcijaństwa typu wschodniego, bizantyjskiego z chrześcijaństwem zachodnim, łacińskim, i przez dwa wieki trwała walka lub kulturalne współzawodnictwo. Zwyciężył Zachód a zwyciężył definitywnie. Nie chodziło tu oczywiście tylko o kościelny rytuał, liturgię, język obrzędowy, ale i przede wszystkim o sam styl duchowy i życiowy, o koncepcję cywilizacji, o metody myślenia oraz o społeczne i osobiste ujmowanie wypadków. Przyjęliśmy wtedy za podstawę swego narodowego istnienia i woli obie idee — wytyczne kultury zachodniej: hellenistyczno-rzymską „humanitas" i chrześcijańską „caritas", a ten antyczno-katolicki uniwersalizm, zarówno aktywistyczny jak realistyczny, umiejscawia nas od dziesiątego wieku równocześnie po stronie pozostałego europejskiego Zachodu jako wyraźną antytezę Wschodu i określa nasz dalszy rozwój... Zachód odgrywał w naszym życiu rolę nawskroś twórczą przez to, że nas wytworzył, utrwalił, przywiódł do zrozumienia naszej własnej duchowej istoty i naszych historycznych zadań. Zachodni charakter czeskiego ducha i czeskiej kultury nie jest problemem, który by można wysunąć, nie jest tematem do dyskusji. Jest to fakt oczywisty. Już przez długich dziesięć wieków „homo bohemicus" pojmuje swe usiłowania o swoją stale doskonalszą i lepszą ludzkość, o stale doskonalszą i pełniejszą realizację swego posłannictwa na ziemi, jako część składową szerszego dzieła, które w świecie tworzy człowiek Zachodu. Czy więc oderwanie od Zachodu nie oznaczałoby poruszenia nas w samych najgłębszych moralnych podstawach? Czy domaganie się od czeskiego człowieka zrzeczenia się tego, co przez ty-

Przegląd prasy niemieckiej

Vorwärts

Berliner Volksblatt

Berlin (str. angielska).

Pociąg pośpieszny opuszcza punktualnie dworzec Nowomiejski w Dreźnie. Już koło Kłocze (w r. 1309 wzmiankowaną jako „Villa Kloiczowe") musi zwolnić biegu na skutek uszkodzeń mostów, spowodowanych w ostatnich dniach wojny. Dwusetletnie lipy chylą wierzchołki na powitanie w Langebrück. Obok kościółka o strzelistych wieżach spoczywa kompozytor Jean Louis Nicode. Mijamy Radeberg, miasto o obliczu przemysłowym, pełne dymu, z zamkiem myśliwskim Klippenstein, otoczone zielenią, które zbudowano w latach 1534 do 1546. W Biskopicy wglądamy na chwilę do kąpieliska o powierzchni 20 000 m^2 i widzimy rozbawioną młodzież. Pozdrawiają nas wieże Hodźija (Göda). W Demitz-Thumitz konstatujemy, jak ciężką jest praca w kamieniołomach granitu. Im dalej posuwamy się na wschód, piętrzeją zniszczenia wzdłuż toru kolejowego. Zniszczony jest także w Budziszynie most Kronprinza, z którego rozciągał się rozległy widok na zamek Ortelburg i jego piękną architektoniczną sylwetkę. Odczuwamy pewną ulgę, kiedy widzimy, że pomimo bezcelowych zniszczeń miasto buduje się na nowo. Domy zostały wprawdzie zniszczone, pozostały jednak góry, wioski, położone pomiędzy polami i łąkami, a gospodarstwa wyglądają jak ciemne krzaki, którymi obsiana jest ziemia. Pilni, zatwardziali ludzie wszędzie pracują. Po kilku latach niebytności w krajach niemieckich podróż obecna jest dla nas pierwszą ponownie po Łużycach. W takt uderzeń kół pociągu słychać pieśń górnych Łużyc. Z Pommritz zwrok nasz skierowujemy na Hochkirch, gdzie w roku 1758 toczyła się bratobójcza walka o ziemię. W Lubiju przerywamy naszą podróż: znajdujemy przyjemny i czysty hotel, stoły w pokojach gościnnych z wazonami róż: przyjemnie jest być tutaj gościem. Pełen natchnienia jest wieczór jako zakończenie dnia podróży, w którym przeżywaliśmy wiele. Zięba stuka głośno, jak gdyby unosiła swoje serce w pyszczku, a kos wtóruje jej do rytmu. W przedziwnym oświetleniu widzimy ciemnozieloną powłokę góry w Lubiju: zakochaliśmy się ponownie w Łużycach. Usłyszeliśmy dziewczęta śmiejące się, chłopcy żartowali a starsi gawędzili poważnie. Wszędzie spotykamy twardy, pracowity śląski element przesiedleńczy.

Następnego dnia przyjeżdżamy do Zgorzelca. Tutaj jest wszystko inaczej. Wyczuwamy, że tam kończą się szyny. A jednak, zwłaszcza główna ulica, stara się pokazać w oknach wystawowych silną inicjatywę ludzi handlu. Zgorzelec dzielnie walczy o swoje znaczenie jako duże miasto na kresach. Posiada wiele zabytków budowlanych. Przepiękną bramę Reichenbacher Torturm i ratusz zbudowany w stylu renesansowym. I tutaj ostatnie promienie słońca u schyłku przemęczonego dnia spadły na górę Landskrone i wieżę kościoła św. Piotra o wysokości 84 m. Ona sama jest godna zobaczenia dla przybywającego do Zgorzelca. Przez swą różnorodność kształtów stanowi jedną z najważniejszych budowli kościelnych wschodnio-niemieckich.

Podróż powrotna obfituje w szereg momentów wesołych, przyjemnych ale i zabawnych. Konduktorka w Budziszynie dzielnie broni przedziału z biletami okresowymi przed atakiem ze strony podróżnych. Chcemy jej podziękować. W Seitschen musi jednak ulec. Przykro, kiedy gospodynie z Budziszyna do Drezna opowiadają o książce kucharskiej i wracają do kulinarnych wspomnień. Niezbyt przyjemne, kiedy ocierają się o podróżnych chłopi z wilgotnymi torbami z sałatą, a ziemia wysypuje się z plecaków na ubrania i suknie, kiedy zapinki plecaków dziurawią pończochy, a ciężkie walizy powodują uginanie się półek wagonowych. Ale ten akord nie zasmucił nas bynajmniej, bo uprzednio przeżyliśmy wiele przyjemnego, ciekawego i wesołego. Nasze Łużyce żyją. Ludzie są pewni siebie i nie zapomnieli o swym uśmiechu.

(„Wo die Gleise zu Ende gehen")

Zgorzało sioło do tła. Sterczą śród zgliszcz słupy czarne. Dym pełza po ziemi, wiatr popioły roznosi. Z czterech stron zażgli psubraty, a wietrzno było bardzo, wicher żagwie ze strzechy na strzechę miotał.

Pozierali Ślężanie z poza zasieku na płonące domy swoje zaciskając zęby a oszczepisko im w rękach aż skrzypiało.

Grobowa cisza między nimi zalegla. Jeno szepnął co jaki czas ten i ów:

— Sulisławowy dom gore... Danowa strzecha juże dymi...

Aż syknie, rzekłbyś, nożem w serce dźgnięty:

— Mój dom gore!

I patrzy milcząc aż się strzecha zapadnie, dym i ogień w górę słupem strzeli. A oczy mu płoną jakby się od tego ognia zajęły.

Donieśli ostroża, co im z drzew widać. Niemce znowu na oddzielne czety się rozbili, idą na ostrowy Daćbogowych ludzi szukać. Nie wielka ich siła przy spalonym siole ostała.

Gdy ćma pole ogarnęła, popełźli Ślężanie gąszczem z dwoch stron pod sioło. Jednych wiedzie Sulisław, innych starosta Daćbóg.

Pośpieszył się zbytnio Sulisław, Daćbogowy brat. Popędliwy był, za wczas ludzi swoich na czyste wywiódł. Pobieżeli Niemce precz z sioła, nie pośpiał Daćbóg im drogi zastąpić. Uszli Niemce k swoim do Świdnicy, ale mnogo ich tedy ubili Ślężanie uciekających. Żeby nie noc, żaden by pomścić Ślężan nie uszedł.

Kiedy wrócili raciędze ślężańscy za swój zasiek na górze, usłał Daćbóg stryja Przybycha z ludźmi, by Niemcom, co na ostrowy poszli, w trudnym przejściu od prawicy drogę zastąpił. Od lewicy zaś miał zachodzić Zdziembor z innym oddziałem. Kiedy pogonią Niemców wstecz, najdą ciemiężcy na wszystką Daćbogową siłę i tu im koniec będzie.

Ale inaczej się stało.

Doniosły Zdziemborowi zwiady, że Niemce u Perunowego dęba ognie rozpalili, świtania żdąc. Poprowadził tam swoich ludzi Zdziembor. Wilczym tropem szli, jeden za drugim jako gęsi. Podeszli gąszczem, podpełźli blisko, zaczaili się w zaroślach.

Wielkie ognie żgą Niemce przy okopach. Mnogo ogni, rzekłbyś kto węgle jarzące się we ćmie po ziemi rozsiał. Ostroża po nasypach chodzą, gwarzą zbóje niemieccy: głos głuchy, jakby spod ziemi szedł.

Nie wywiódł Zdziembor swoich raciężny na płoninę. Też świtania czeka, jakoże świtaniem sen ludzi morzy, tedy pora będzie śpiących Niemców bić.

Legli Zdziemborowi w gąszczu bok o bok. Kiedy który zachrapie, inny go łokciem pchnie:

— Nie śpij!

Ocknie się raciędz, ręką rosę z trawy zbiera, trze lice, sen odgania.

Siądzie, na niebo poziera. Gwiazd na niebie wysokim mnogo, wszystkie kraśno mrugają.

Cisza. Słychać kiedy ostroża niemieckie mamroczą. Słychać jako szczapy smolne trzeszczą.

Aż zawoła pustułka: — „Hu, Hu"...

Komu wróżba ta? Komu śmierć? Niemcom przy ogniach, czy im w gąszczu, we ćmie siedzącym... Nie odgadnąć! Wszak słychać i tu i tam.

Kto jaki nawięz na szyi nosił, dłonią do piersi przyciska, słowa urocze szepce. Precz ujść! Nie za! Nie za Niemców na ostrowy puszczać, tam żeny i czędy, tam dobytek.

Bieleje niebo, pobladły gwiazdy. Czekają ludzie świtu, doczekać się nie mogą: straszna rać, ale czekanie jeszcze cięższe. Raz by koniec!

Przygasły Niemcowe ognie. Ostroża leleją się sennie nad czerwonym zarzewiem.

Woje ślężańscy roszczepy w garści ściskają.

Naprężył się Zdziembor do skoku. Wokół niego jeszcze wiercą się, dyszą ciężko z niecierpliwości.

Pora!

Skoczył Zdziembor, z krzykiem wielkim, ale nie słyszał swego głosu, tak gromko za nim krzyczała gromada wojów ślężańskich na wroga bieżąc.

— Bij, ubij!

Rozszumiały się zarośla.

Ślężanie w mig ogni przy okopie dopadli. Legli usieczone ostroża niemieckie głowami w ogień.

— Bij, ubij!

Niemce, którzy spali, porwali się na nogi i poczęli zwoływać się w rozterce. Miotali się kupami i w pojedynkę. Zegnali ich Ślężanie za okop.

Kują młoty kamienne, siecze żelazo, bodają oszczepy miedziane. Biją Ślężanie młotami w kość jako cepami, młócą czerepy niemieckie. Zaschło wojom w gardłach. Już nie krzyczą, charkot jeno słychać. W piersiach im gra jakoby drzewo rąbali.

Kto padł na ziemię, we krwi pełzając kamieniem w prochu najdzionym, bije w czerep wroga co z nim legł, nożem od spodu brzucho pruje.

— Za naszą krew!

Cała płonina, cała ziemia rusza się, drga, dyszy ciężko, ze świstem.

Wyszło już słońce kraśne na niebo jutrzenne. Pozierał Swarożgospodzin z wysokości na bój, Ślężanom sprzyjając.

Pobieżeli rabusie-Niemce. Ślężanie za nimi. W trzęsawice, w topieli spychają ich, tam tonących siekli i bodą.

— Za naszą krew!

Mnogo tedy pobili Niemców Ślężanie. Pół tego, co przyszło, na polu zostało. Ubyło też i Daćbogowych raciędzów, ale nie tak wiele, a oręża dobycznego u Ślężan cały chełm nakładziony.

Wielka w on czas rać była. A na jeszcze większą miała przyjść pora, gdy uradziły wszystkie rody społem Niemców ze Świdnickiego grodu przepędzić.

Maria Bechczyc-Rudnicka.

Wspominamy



Teodor Tyc umarł 5 sierpnia 1927, a więc dwadzieścia lat temu. Umierając miał zaledwie lat trzydzieści jeden i mimo tak młodego wieku zdobył sobie trwałe imię w dziejach kultury i nauki polskiej, w dziejach walki o polski Zachód.

MONACHIJSKA MŁODOŚĆ

6 maja 1896 w Monachium urodził się Teodor Tyc. Dom Tyców był ośrodkiem polskości i ogniskiem życia towarzyskiego; w tym duchu wzrastał młody Teodor. Już od wczesnej młodości rozczytywał się w utworach pisarzy polskich i obcował z wybitnymi ludźmi kultury i sztuki (Józef Brandt, Ajdukiewicz, Stachiewicz, Bernard Chrzanowski, Stanisław Przybyszewski i in.), którzy wonczas przebywali w Monachium. Pojawia się zamiłowanie do malarstwa. Nieco później zjawiły się u Tyca zamiłowania do twórczości literackiej. Pod urokiem pisarzy historycznych, a zwłaszcza Karola Szajnochy zaczął tworzyć rodzaj szkiców historyczno-literackich.

Wespół z ojcem swoim odbywał wycieczki krajoznawcze po Wielkopolsce, po Pomorzu i Śląsku. Wrażenia swoje przelewał na papier i dzielił się spostrzeżeniami swoimi w Tow. Studentów-Polaków w Bawarii. Miewał tam również odczyty z zakresu historii sztuki w Polsce.

Obowiązek służby wojskowej (1916) zmusza go do porzucenia studiów uniwersyteckich (wydz. fil.). W czasie pełnienia jej para się piórem, ogłaszając artykuły literacko-naukowe i publicystyczne w pismach poznańskich („Praca", „Orędownik", „Kur. Pozn."). Po odbyciu służby wojskowej (1919) wyjeżdża z Monachium do kraju z zamiarem wstąpienia do tworzącej się wówczas armii polskiej.

ORKA PUBLICYSTYCZNA NA ŚLĄSKU

Nad samą granicą — jak podaje prof. dr. Jan Rutkowski — spotyka się przypadkowo z podkomisarzem śląskim Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, adwokatem Kazimierzem Czaplą, który w 1896 osiedlił się jako pierwszy Polak-adwokat na Śląsku (Bytom). Tyca porwała od razu walka narodowa: jako kierownik wydziału prasowego Podkomisariatu dla Śląska zasila prasę polską („Katolik", „Gazeta Robotnicza", „Gazeta Opolska" i in.) artykułami politycznymi i społecznymi pod pseudonimem „Bogdan". Propaguje myśl ścisłego zespolenia się żywiołu polskiego na Śląsku dla obrony języka i spraw politycznych, a na łamach pism niemieckich uprawia skuteczną propagandę sprawy polskiej.

Po kilkumiesięcznej działalności, Tyc wyjeżdża do Poznania, gdzie mieściła się ekspozytura Komisariatu Śląskiego. Tam opracował szereg wnikliwych artykułów w obronie polskości Śląska (przeważnie w języku francuskim) i przesłał je prasie europejskiej.

Po wybuchu pierwszego powstania śląskiego znalazł się Tyc w Sosnowcu, kontynuując tam dalszą działalność publicystyczną. Całą duszą oddał się redagowaniu czasopisma „Powstaniec, pismo wychodźców górnośląskich".

Kiedy powstanie upadło — wraca znów do Poznania, celem podjęcia studiów uniwersyteckich, zaczętych w Monachium. Pod pseudonimem „Polonus" zamieszcza artykuły o Śląsku w czasopiśmie „Sprawa Polska".

W 1920 r. zjawia się Tyc w Bytomiu i w hotelu „Lomnitz" rozpoczyna intensywną działalność oświatowo-publicystyczną. Jest tam zastępcą kierownika wydziału prasowego, Edwarda Rybarza i samodzielnie kieruje prasą niemiecką („Grenzzeitung"). Ponadto pisze artykuły do czasopism: „Der Weisse Adler", „Oderwacht", „Oberschlesischer Wegweiser".

Położył on nieocenione wprost zasługi dla Polski w przełomowych chwilach na Śląsku. Podkreślić należy, iż napisał on przeszło tysiąc artykułów publicystycznych, przeplatanych historycznymi wywodami.

Nie była mu też obca walka orężna, gdyż w 1920 r. kierował obroną siedziby Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu przeciw niemieckiej napaści.

Po plebiscycie wraca do Poznania. W uznaniu wielkich zasług otrzymuje w 1921 krzyż kawalerski orderu „Polonia Restituta". Poznawszy śląski świat pracy, zainteresował się zagadnieniami gospodarczo - ekonomicznymi. Zapewne zamierzał pisać pracę o Śląsku, skoro posiadał teke zatytułowaną „Silesiaca". Jakoż w „Strażnicy Zachodniej" (1922) ogłosił cenniejsze prace pulicystyczne pt. „Z literatury o Śląsku". Dyplom magistra uzyskuje w 1923, a tytuł doktora w 1924 na podstawie pracy „Początki kolonizacji wiejskiej na prawie niemieckim w Wielkopolsce". (1200 do 1333). Od literackiego ujmowania zagadnień historycznych przechodzi stopniowo do ściśle naukowych konstrukcji.

ZAŁOŻYCIEL I REDAKTOR „STRAŻNICY ZACHODNIEJ"

Powstanie Związku Obrony Kresów Zachodnich (Poznań 1921) jest twórczą inwencją i zasługą dra Teodora Tyca, który zmobilizował opinię polską, by stawiła czoło napierającej z Frankfurtu n/Odrą propagandowo-rewizjonistycznej fali niemieckiej. W ZOKZ objął Tyc dział prasowo - propagandowy i założył „Strażnicę Zachodnią", kierując tym czasopismem od 1922 do 1924.

W międzyczasie zaproponowano Tycowi objęcie katedry historii prawa na Zachodzie Europy, w Uniw. Pozn. Celem pogłębienia wiadomości z tego zakresu wiedzy uzyskuje stypendium i wyjeżdża na studia do Strassburga. I tam jest również działaczem oświatowym. Nawiązuje kontakt z Polonią strassburską, wyjeżdżając w każdą prawie niedzielę z odczytami do przyległych kolonii robotniczych.

Po powrocie do kraju (1925) rozpoczyna wykłady z historii prawa na wydziale prawno - ekonomicznym U. P. i prowadzi aż do śmierci „Strażnicę Zachodnią". W ostatnim roku życia pracował nadto w Instytucie Bałtyckim jako jeden z dyrektorów. W 1927 jest docentem U. P.

W SŁUŻBIE KULTURY I NAUKI POLSKIEJ

Działalność pisarską rozpoczął Tyc jako uczeń gimnazjalny w Monachium. Wydał drukiem: „Piotr Włast Dunin" (opowiadanie z XII w. pod pseudonimem Bogdana Strusia), 1914; „Facecje z dawnej Polski", 1917; „Początki kolonizacji wiejskiej na prawie niemieckim w Wielkopolsce 1200 — 1333", Poznań 1924; „Niemcy w świetle poglądów Polski Piastowskiej", 1925; „Walka o kresy zachodnie" (Roczniki historyczne I, str. 34—65, 1925; „Z dziejów kultury w Polsce średniowiecznej", Poznań 1925; „Bolesław III Krzywousty, odnowiciel i wychowawca polskiej polityki północnej", 1926; „Pomorze Polskie, a Krzyżacy", Poznań 1927; „Zbigniew i Bolesław", studium, Poznań 1927 i in.

Podkreślić wypada, iż działalność publicystyczno-polityczną poświęcił Tyc wyłącznie obronie kresów zachodnich. Studia i zagadnienia polsko-niemieckie zajmują w jego twórczości poczesne miejsce. Jego badania naukowe skupiły się przede wszystkim dookoła osoby Bolesława Krzywoustego.

„PAMIĘTNIK"

Pośmiertnie ukazał się Tyca „Pamiętnik" (Poznań 1931), którego druk sfinansowany został przez prawie dwustu subskrybentów, co umożliwiło wydanie dwóch tysięcy egzemplarzy! Oto co pisze tam o ziemiach zachodnich w 1920 r. (str. 76): „Ale czy w ogóle ten ciągły pęd na wschód ma swe usprawiedliwienie? Ja patrzeć muszę na zachód, tam wszyscy oblicze zwrócić powinniśmy. Tu nasze rdzenne ziemie, których z uporem i twardością trzymać się powinniśmy". Tyc wcześniej niż Żeromski dopominał się odnalezienia duszy regionu śląskiego! Domagał się, ażeby „zebrać wszystkie oddźwięki w literaturze polskiej odnośnie do danego terenu, poustawiać tablice i pomniki dla zasłużonych, wskrzesić zwyczaje ludowe, obudzić poczucie zasiedziałości słowiańskiej, stwarzać mit Polski zachodniej". (Str. 95).

„Na Górnym Śląsku trzeba pracę tę wydrzeć z rąk niemieckich i rozbudzić różdżką czarodziejską wspomnienia polskie". (Str. 59).

Dodać trzeba, iż „Pamiętnik" zilustrowany jest szkicami Tyca: ciekawymi akwarelami, pastelami i szkicami piórkiem, a kończy się pięknymi „akordami ze Śląska", stanowiąc poważną pozycję w literaturze o Śląsku.

„Pamiętnik" Tyca zawiera mnóstwo problemów dziś jeszcze aktualnych, ale nie podobna ich tutaj wszystkich wymienić.

Warto jednak zabiegać o nowe, a tanie jego wydanie, ażeby m. in. służyło niedocenianemu zwykle walorowi: prężności psychicznej społeczeństwa dla wzmocnienia i utrwalenia naszych praw do Ziem Piastowskich.

Adam Dytkiewicz.

Muzyka we Wrocławiu

Od ostatniego mojego sprawozdania muzycznego z Wrocławia upłynęło już sporo czasu; w okresie tym Opera Dolnośląska wystąpiła z Rigolettem Verdiego i moniuszkowską Halką, oraz z dwoma spektaklami baletowymi. Rigoletto i Halka były już wystawione we Wrocławiu w sezonie 1945/6, wtedy jednak większość solistów, chóry, kostiumy wypożyczone były z opery: katowickiej i krakowskiej. Obecnie opera nasza rozporządza już własnymi dobrze się prezentującymi chórami i solistami rekrutującymi się w przeważnej części z młodych artystów, którzy we Wrocławiu stawiali pierwsze kroki na scenie operowej i dzięki pracy niezmordowanego dyr. Drabika, nie tylko uzyskali poważny poziom artystyczny, ale zdobyli sobie popularność i uznanie wrocławskiej widowni. Jeżeli dodamy do tego nową, oryginalną inscenizację tych oper, możemy śmiało nazwać oba wznowienia premierami.

Dyr. Stanisław Drabik, jako inscenizator i reżyser obu oper w swych koncepcjach nie zawsze wychodził poza szablon operowy, wkładając jednak ogromny wysiłek artystyczny wykazał dużo inwencji i wyobraźni inscenizacyjnej zwłaszcza w scenach zbiorowych. Szczególnie inscenizacja trzeciego aktu „Halki" zachwyciła barwnym i celowym ruchem grup scenicznych i ciekawym, oryginalnym rozmieszczeniem postaci.

Ze śpiewaków na szczególne wyróżnienie zasługują młodzi soliści. Marian Woźniczko, którego piękny baryton nabrał jeszcze blasku, w partiach Rigoletta i Janusza wzruszył dramatycznym ujęciem postaci. Robert Sauk jako Monterone i Stolnik, poza pierwszorzędnymi walorami głosowymi wykazał szlachetność postawy i gestu. Partia księcia w Rigoletto dobrze „leżała w głosie" Władysława Szeptyckiego, obdarzonego lekkim i miło

Władysław Szeptycki jako książę w „Rigolecie"

brzmiącym tenorem. Śpiewak ten jednak powinien stanowczo wypocząć, gdyż głos jego po nieprzerwanej pracy i prześpiewaniu 4 wielkich partii w tym sezonie wykazuje pewne objawy zmęczenia.

W partii Jontka zadebiutował, odnosząc duży sukces, Stanisław Babis, rozporządzający nośnym i dźwięcznym tenorem dramatycznym. Niezawodnie śpiewak ten nabrawszy rutyny scenicznej wyzbędzie się pewnej sztywności i okrzepnie na pierwszorzędnego tenora bohaterskiego, którego tak brakuje w naszych teatrach operowych.

Halina Halska, po przejściowej niedyspozycji głosowej, zabłysnęła świetną formą w partii Halki. Dobrze technicznie opanowany sopran o miłym ciepłym brzmieniu i szczerość scenicznego przeżywania wróżą tej śpiewaczce dużą przyszłość. Z pozostałych młodych solistów wykazali znaczne postępy: Krystyna Jamroz, Zygmunt Biliński i Wacław Wronecki.

Ze znanych artystów usłyszeliśmy obdarzoną pięknym koloraturowym sopranem, niepozbawioną jednak maniery, Dunkę Śleczkowską w partii Gildy i Lilianę Zamorską, która w roli Halki wstrząsnęła widownią pełną dramatycznego wyrazu grą.

Orkiestra i chóry pod batutą kapelmistrza Kazimierza Bończy-Tomaszewskiego wykazują ciągłą poprawę, brzmią jędrnie i zwarcie. Szczególnie orkiestra, która do niedawna była słabym punktem spektakli operowych, wyszła nareszcie z długotrwałego impasu, wykazując coraz większą precyzję i zgranie. Podobnie i balet pod kierownictwem Zygmunta Patkowskiego poprawia się z premiery na premierę, — przy czym na wyróżnienie zasługują pomysłowe i barwne „tańce góralskie" z „Halki".

Niestety zespół baletowy naszej opery nie stoi jeszcze na takim poziomie, jaki jest niezbędny do wystawiania dużych przedstawień baletowych. Dlatego też oba spektakle baletowe, na które składały się „Wieszczka Lalek" J. Bayera i „Divertisment" tańczone do muzyki Dworzaka, Namysłowskiego, Smetany, Czibulki, Moszkowskiego i Straussa oraz „Z krakowiakiem do Wrocławia" i „Pije Kuba do Jakuba" (muzyka Zygmunta Wierciaka-juniora), wypadły słabo.

Z wykonawców jedynie Zygmunt i Kazimiera Patkowscy i pełen temperamentu Józef Marciniak dysponują techniką stojącą na dobrym poziomie. Z pozostałych wykonawców wyróżniły się młodziutkie tancerki Urszula Tkoczówna i Irena Rakówna, oraz utalentowani z charakterystycznym zacięciem Urszula Gryglewska i Alfred Czopek.



Scena z „Rigoletto" Verdiego na scenie Opery Dolnośląskiej. Gilda (Dunka Śleczkowska) i Rigoletto (Marian Woźniczko)

Układy baletmistrza Z. Patkowskiego pełne pomysłów, wydobyły z młodego zespołu maksimum możliwości.

Najlepiej udanym z omawianych widowisk baletowych był balet „Z krakowiakiem do Wrocławia", którego szlachetna myśl przewodnia i napięcie patriotyczne pokrywały niedociągnięcia i usterki libretta. Muzyka do tego baletu jest wiązanką tańców ludowych i patriotycznych pieśni polskich i sprawia wrażenie raczej przypadkowo połączonych motywów o ryzykownie rozwiązanych przejściach. Harmonizacja jest miejcami przeładowana nowoczesnymi chwytami atonalnymi, rażąco odbijającymi od pozostałych klasycznie sharmonizowanych fragmentów. Na dobro kompozytora należy zapisać kilka ciekawych opracowań tańców regionalnych.

Wojciech Dzieduszycki

CZESŁAW JANCZARSKI

Okno nad piwonią

Kiedy jaskółki rozsypały świergot za osiką
zrywałem przy płocie maliny świtu,
mam pełne dłonie i czekam.

Obudź się z zarzuconym na szyję warkoczem promyków,
Trzmiel piwonii już powlókł siwą nitkę daleko,
buczał, wiosła lip pluskały za oknem.

Zrywaliśmy wczoraj złote upału źdźbła,
a niebo zalewało widnokrąg coraz dalej.
Goniłaś potem uśmiech po trawnikach,
aż w cieniu jabłonek na wietrze
podałaś mi płatek malin.

Teraz śpisz, rumieniec uśmiechu tuląc dłonią.
Ach, posypią się wesołe motyle promyków z szyb,
kiedy rozchylisz okno nad piwonią

a Zachodem

siąc lat stanowiło jego istotę, nie oznaczało by żądania wyrzeknięcia się niemal samego siebie? Duchowy charakter naszego narodu nie jest wytworem ostatnich dwudziestu czy pięćdziesięciu lat, nie żyjemy, ani nigdy nie żyliśmy z ideowych pożyczek, które by można odnawiać i wymieniać w każdej generacji. Dziesięć wieków duchowego istnienia i twórczej pracy napełnia nas swym błogosławionym ciężarem, dziesięć wieków współżycia i łączności z Zachodem, a jeśli one nie wytyczają ściśle naszej przyszłości, jako niezmiennego i ślepego fatum, to jednak nie mogą nie wytyczyć kierunku, w którym nasze twórcze usiłowania mają się rozwijać, metod, które powinniśmy stosować, tradycji duchowego zdrowia i moralnej równowagi, którą musimy zachować."

I obecnie przystępuje Czerny do sedna rzeczy. Szuka drogi pełnej, jego zdaniem najlepszej, dla dalszego pomyślnego rozwoju kulturalnego narodu.

„Obecnie odpowiedź na pytanie niejasne jest jasna. Wschód czy Zachód? Ani: Zachód zamiast Wschodu, ani: Wschód zamiast Zachodu. Ale: Wschód i Zachód. Z Zachodem musimy utrzymać za wszelką cenę żywą i użyźniającą łączność, bowiem jesteśmy narodem zachodnim przez swoją prastarą kulturę, a przerwanie tej odwiecznej łączności oznaczało by pogrążenie się w głęboki kryzys duchowej bezradności, pozbawionej mocnych podstaw. Ze Wschodem musimy swoją łączność spotęgować, nie może nam ujść ani jedna z jego twórczych podniet, ani jedna cząsteczka jego bogactwa. W s c h ó d i Z a c h ó d — b y ś m y b y l i j a k n a j l e p i e j p o i n f o r m o w a n i, j a k n a j b o g a t s i. Aby nie było w świecie dobrego impulsu, który by nas nie zapłodnił, którego byśmy dla siebie i według swych warunków nie wykorzystali. Wschód i Zachód nie dlatego, byśmy byli przyczepką to do jednego, to znów do drugiego, ale dlatego, że chcemy, aby do nas bardziej niż do kogokolwiek odnosiło się stare: „Homo sum..." — „Jesteśmy ludźmi, i nic ludzkiego nie powinno nam być obce" — a to wymaga szerokiego, wolnego spojrzenia na wszystkie strony świata, okien otwartych dla wszystkich przewiewów ducha. Oto pierwszy warunek, aby nasza kultura pozostając czeską była i w przyszłości taką, jaką ją widziały najchlubniejsze nasze czasy: nie tylko wschodnią — nie tylko zachodnią — ale na prawdę l u d z k ą!

Nie uważam więc, by dziś znalazł się u nas lekkomyślnik, który by się spodziewał, że będzie nas można powstrzymać od tego, czego sobie każdy życzy: od płodnej kulturalnej łączności ze Wschodem. Ale znaleźć się mogą jedynie usłużni gorliwcy, dla których nagle cierniem w oku stanie się nasz odwieczny charakter narodu kulturalnie zachodniego. Ale my z kręgu ducha zachodniego nie pozwolimy się wyrwać tym bardziej, ponieważ cały nowoczesny duchowy a w końcu i socjalnopolityczny rozwój Rosji uważać można za gigantyczną, wszechstronną i w swych wynikach udaną próbą jej zasadniczej okcydentalizacji. Można to udowodnić dla dziejów literatury rosyjskiej, poczynając od romantyzmu Puszkina i Lermontowa, a nawet już od Łomonosowa. Ale w oczy wprost rzuca się to, jeśli chodzi o rozwój socjalnopolitycznej myśli rosyjskiej, od starych teorii aż po nowe realizacje marksistowskie. Marx jest, przypuszczam, płodem i wyrazem myśli z a c h o d n i e j, a jeśli się nie mylę, nawet zdecydowanie zachodniej. A do jakiej linii trzeba zaszeregować Lenina — o tym chyba nie będzie wątpliwości. Jest to tak oczywiste, że Rosjanie sami z dumą podkreślają, iż cywilizacyjne usiłowania Sowietów przybliżyły ich zdecydowanie do Europy i uczyniły częścią zachodniej strefy kulturalnej. Już hasło „Dogonić, nawet prześcignąć" jest tego świadomym wyrazem.

Zarzucą mi naturalnie — pozornie słusznie —, że Rosjanie przyswoili sobie z zachodniej kultury tylko pożywkę prawdziwą, prawdziwe płodne duchowo-moralne wartości, zdolne do wykiełkowania i wydania owoców właśnie w Rosji, że płody ducha zachodniego przetworzyli sobie na swój sposób, że je po prostu przetrawili... Ale tego chcemy również i my. Również i my chcemy stać się kontynuatorami, a w razie potrzeby i obrońcami tego, co na Zachodzie jest żywe, żyzne, dobre. Ale właśnie dlatego musimy z Zachodem pozostać w łączności prostej i bezpośredniej. Było by bowiem niedorzecznością, aby ktoś za nas i zamiast nas poznawał, co jest dla nas na Zachodzie dobre i użyteczne i aby nam to podawał w formie pożywki w swojej adaptacji i według swego widzimisię. Nie pójdziemy po prostu pytać się Rosji, co z duchowych esencji Zachodu nadaje się dla nas i jest dla nas strawne, jak również nie będziemy się pytać Zachodu, co trzeba sobie przyswoić ze wzorów rosyjskich, — bowiem w obu wypadkach najlepszym sędzią jesteśmy sami, ponieważ znamy swoje potrzeby i swój charakter. Zresztą: jest rzeczą pewną, że nam Rosja w tym kierunku dyktować nie chce i nie będzie. Nasze słowa odnoszą się raczej do naszych na wschód zorientowanych rodaków.

Chcemy tworzyć kulturę socjalistycznego humanizmu rodzimego. Co do tego wszyscy się zgadzamy. Ale nie wybudujemy niczego ani rodzimego, ani kulturalnego, jeśli nie będziemy mogli tworzyć zupełnie swobodnie, bez obcych przepisów, lub choćby tylko recept. Dla tego twórczego dzieła mamy przed sobą doskonały wzór — właśnie w Rosji. Wzór przykładny, nie do ślepej imitacji. Nasz socjalistyczny humanizm będzie inny niż rosyjski po prostu dlatego, że będzie czeski: wyrośnie z innych korzeni i warunków, a będzie odpowiadać innym potrzebom. Jak to doskonale powiedział Stalin w „Problemach leninizmu": „O ile chodzi o społeczeństwa różnych narodowości w proletriackiej kulturze, jest rzeczą niemal pewną, że wykształtują się w formach odpowiadających językom i zwyczajom tych narodowości..." A dalej: „Byłoby rzeczą niedorzeczną przypuszczać, że Lenin uważał socjalistyczną kulturę za kulturę pozbawioną form narodowych..." A jeszcze: „Trzeba pozwolić, aby narodowe kultury się rozwijały i rozwinęły, aby wypowiedziały wszelkie swoje możliwości..." W samej ogólnej sowieckiej koncepcji kulturalnej, ujętej w haśle „Kultura socjalistyczna przez narodową treść i formę", mieści się warunek narodowej kulturalnej odrębności, odpowiada ona różnicom i indywidualnościom dotychczasowego rozwoju kulturalnego pojedyńczych narodów, ich charakterowi, potrzebom i celom. A jeśli zachodni charakter czeskiej kultury jest jej organicznym rysem, a nawet istotą, która ją od wieków współformowała, nie można, uważam, o konieczności jej swobodnej łączności z kulturą zachodnią w ogóle powątpiewać."

„A jeśli trzeba zagadnienie rozpatrzyć jeszcze z punktu widzenia tej najaktualniejszej kulturalnej taktyki, powiemy jeszcze, co następuje: Ani przez chwilę socjalizm nasz i ci, którzy są współtwórcami jego kultury, nie mogą pozwolić na zaniedbanie albo choćby zlekceważenie wzajemności duchowego życia naszego z duchowym życiem na Zachodzie, twierdząc, że co prawda Zachód jest dla nas pomnikiem wielkich kulturalnych tradycji, ale że chwila obecna i przyszłość leży wyłącznie na Wschodzie. Pomijając fakt, że taką proroczą koncepcję można raczej zaliczyć do repertuaru kabały niż do naukowego arsenału marksisty, istnieje niebezpieczeństwo, iż będzie ona niezmiernie radośnie przyjęta przez kulturalną reakcję, która czyha na każdą naszą niezręczność, każdą socjalistyczną nieudolność, każdy błąd wywołany przez sekciarskie zakapturzenie.

Wł. J. Urbańczyk

Słowo do znachorów

(Dokończenie ze str. 1)

(Dokończenie ze str. 1)

Praca Leydinga - Mieleckiego stara się przez tłusty druk wyszczególnić w „Skorowidzu nazw polskich" nazwy ustalone przez komisję. Należało jednak w jakiś graficzny sposób wyróżnić nazwy ustalone i ogłoszone w „Monitorze" od nazw ustalonych, ale nie ogłoszonych jeszcze w „Monitorze". Następnie nie powinno być niezgodności między wykazem niemiecko-polskim a polsko-niemieckim. Np. **Olszewnik** (niem. Elsau, pow. reszelski) jako nazwa ustalona przez komisję figuruje w skorowidzu polskim, tymczasem w części niemiecko-polskiej zamiast tej **tylko** nazwa **Elzowo** (używana przez ludność miejscową). Ta sama uwaga odnosi się do **Borzynowo — Borynowo** (pow. pasłęcki, niem. Briensdorf). Należało też wyróżnić chrzty ustalone przez komisję od nazw dotychczas używanych przez ludność **(Giżycko — Lec, Mrągowo — Ządzbork** itp.). Dlatego też nazwy, które są wyłącznym chrztem komisji, gdyż dotychczas nie były znane polskie odpowiedniki nazw niemieckich, należało w jakiś sposób wyszczególnić (por. **Księżno** — Fürstenau, pow. pasłęcki, **Babiak** — Frauendorf, pow. lidzbarski, **Dębowiec** — Eichholz, pow. świętomiejski itp.).

Część druga pracy, która obejmie nazwy fizjograficzne (jeziora, rzeki, góry) będzie ważnym źródłem pomocniczym dla komisji, mającej w najbliższej przyszłości zająć się tymi nazwami. „Instytutowi Mazurskiemu" należy się uznanie, że doceniając dokumentację językową w odkrywaniu polskiego oblicza tych ziem, wydał tę pracę i przygotowuje dalszą część do druku.

Książka Ziem Odzyskanych

Książka o Korfantym

Dr Mieczysław Tobiasz: Wojciech Korfanty — Odrodzenie narodowe i polityczne Śląska. — „Ognisko" — Spółdzielnia Księgarska. Katowice 1947. Str. 238.

Opracowanie biografii Wojciecha Korfantego — zdaniem naszym — powinno pokazać czytelnikowi w całej pełni obraz życia i działalności człowieka, który był największym mężem w walce o polskość Śląska i przyczynił się wielce do powrotu tej dzielnicy do Macierzy. Na wstępie do swej pracy o Wojciechu Korfantym (str. 7 „Od autora") zamieścił p. dr Tobiasz zdanie: „Praca poniższa jest równoległą do prac zasłużonego badacza śp. ks. dr. Szramka o dr. Rostku, red. Napieralskim (Roczn. Tow. Przyj. Nauk na Śl. II(1930), o ks. Kapicy (Rocznik Tow. Przyj. Nauk na Śl. III, 1931), o ks. Skowrońskim (Katowice 1936 oraz do prac autora o ks. Wajdzie (Katowice 1937) oraz o red. Koraszewskim (Katowice 1938), dlatego celem jej jest opublikowanie materiałów nie uwzględnionych w powyższych pracach oraz naświetlenie udziału Wojciecha Korfantego w odrodzeniu narodowym i politycznym Śląska, co stanowiło do tej pory lukę największą, gdyż udział jego w życiu publicznym w tym okresie był dominującym".

Po przeczytaniu jednak pracy dr. Tobiasza o Wojciechu Korfantym nie możemy powiedzieć, by autor postawione sobie zadanie wykonał starannie i przyczynił się do pogłębienia naszych dotychczasowych wiadomości o Wojciechu Korfantym. Wszystko bowiem co wiedzieliśmy z prac innych historyków o tej postaci znajdujemy powtórzone u dr. M. Tobiasza. Poza małymi przyczynkami biograficznymi nie spotykamy nic nowego. Dlatego też i z tej przyczyny biografia Wojciecha Korfantego pióra dr. M. Tobiasza nie daje nam pełnego obrazu życia i działalności tego wielkiego i zasłużonego męża dla sprawy polskiej na Śląsku. Praca zbudowana została w dużej mierze z wycinków prasowych, tak, że postać Korfantego na łamach książki nie jest postacią żywą lecz jakby jej prasowym odbiciem, sylwetką kreśloną piórem dziennikarza. Zamieszczone przy końcu przypisy nie zawsze zgadzają się z podawaną przez autora literaturą. Konfrontacja tekstu nie zawsze wypada ku zadowoleniu sprawdzającego. Patrz np. rozdz. II, przypis 31, 32, 40, rozdz. IV, przypis 4, rozdz. V, przypis 19, rodz. XI, przypis 22. Autor bowiem nieraz skraca przypisy lub podaje je błędnie, przez co budzi nieufność czytelnika, zwłaszcza fachowego do rzetelności warsztatu naukowego autora. Wynika to ze zbyt pośpiesznego pisania książki, bo inaczej nie można sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Gdyby nawet praca dr M. Tobiasza o Korfantym nie posiadała wyżej wspomnianych wad, które niewątpliwie są duże, to niezrozumiałym jest dla nas niepełne zobrazowanie stosunków politycznych i społecznych, panujących na Śląsku w okresach walk wyborczych do parlamentu niemieckiego, przed wstąpieniem Wojciecha Korfantego jako posła do Reichstagu w 1903 roku. Trudno przy najlepszej woli nazwać tę książkę biografią W. Korfantego (do lat 1914 roku), skoro po jej przeczytaniu nie możemy urobić poglądu nań jako człowieka czy polityka. Trudno powiedzieć czy autor pogląd taki posiada. W każdym razie w książce go nie podaje, a nawet szczędzi nam takich szczegółów jak imiona rodziców Wojciecha Korfantego, **Józefa** i Karoliny.

Przypuszczać jednak należy, że obszerne omówienie tej książki ukaże się na łamach pisma fachowego, ze względu na postać Wojciecha Korfantego.

Eugeniusz Poniatowski

Ossolineum we Wrocławiu

Dr. Franciszek Pajączkowski, „Ossolineum we Wrocławiu". Wrocław 1947. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Ossolineum, str. 20. Odbitka z Sobótki 1946. Półrocznik II.

Sympatyczna broszurka Dr. Fr. Pajączkowskiego, współpracownika Biblioteki Ossolineum we Lwowie, a obecnie we Wrocławiu, przedstawia nam pokrótce zarys dziejów odzyskania znacznej części zbiorów Ossolineum oraz ich przewiezienia w dwóch transportach poprzez Przemyśl, Kraków, Katowice do Wrocławia. Rewindykacja kilkunastu tysięcy książek przedstawia dużo trudności, a cóż dopiero mówić o 210.343 tomach, które na razie zostały zrewindykowane? Ale dobra wola i żelazny zapał wszystkie trudności zdołają pokonać. Od planów i projektów, poprzez transporty kolejowe i samochodowe, aż do umieszczenia zbiorów w b. gimnazjum Macieja, a obecnie głównym gmachu Ossolineum we Wrocławiu — oto droga książki polskiej, która wędrowała ze Lwowa nad brzegi Odry. Ale to wszystko jeszcze mało! Starania od odzyskanie dalszych partii olbrzymiego księgozbioru (przed wojną 500.000 t.) trwają, a równocześnie z tym zawiązało się we Wrocławiu Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum (T. P. O.), które wkrótce uzyska prawo stowarzyszenia wyższej użyteczności. Bibliografia ważniejszych artykułów, dotyczących Ossolineum we Wrocławiu, między nimi również artykuły „Odry", zamykają całość. Każdy, kto kocha Ossolineum, powinien się z tą broszurką zapoznać.

Franciszek Szymiczek.

Tydzień Wrocławia

ŻYCIE TEATRALNE:

10. VIII. Występ zespołu muzyczno-wokalnego b. więźniów politycznych obozu koncentracyjnego w Buchenwald „Tygrysy Buchenwaldu“ w Teatrze Popularnym.

11. VIII. Początek gościnnych występów Państwowego Teatru Wojska Polskiego w Łodzi w Państwowym Teatrze Dolnośląskim. W programie sztuka G. B. Shawa „Profesja pani Warren“.

12. VIII. Występ popularnego humorysty Leona Wyrwicza w Teatrze Popularnym.

13. VIII. Premiera w Teatrze Popularnym komedii muzycznej Z. Gozdawy i W. Stępnia p. t. „Bliźniak“ z Adolfem Dymszą w roli głównej.

ŻYCIE LITERACKIE:

11. VIII. W ramach „Poniedziałków“ organizowanych przez Oddział Wrocławski Związku Zawodowego Literatów Polskich — Marian Prominski wygłosił odczyt p. t. ‚Style literackie w prozie“.

14. VIII. Odbył się 65 „Czwartek literacki“ Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, na którym Zbigniew Gołąb wygłosił referat „O celach i metodach poznawczych humanistyki“.

PLASTYKA:

W dalszym ciągu otwarta jest wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki Oddziału Wrocławskiego Związku Zawodowego Artystów Plastyków.

Kronika słowiańska

Laureaci stalinowscy

Pokaźna liczba dotychczasowych laureatów nagród stalinowskich w dziedzinie literatury powiększyła się o kilka nowych nazwisk. Dzieła pisarzy nagrodzonych w tym roku powstały z zetknięcia się ich autorów z życiem prawdziwym. Wiera Panowa pracowała w czasie wojny w pociągu sanitarnym. Petro Werszygora



W. P. Niekrasow i P. U. Browko

walczył jako partyzant w oddziałach gen. Kowpaka na Ukrainie. Borys Polewoj był sprawozdawcą wojennym „Prawdy“, korespondentami pism frontowych byli Aleksander Twardowski i Konstanty Simonow, Wiktor Niekrasow bił się pod Stalingradem itd. itd.

Panową nagrodzono za książkę „Towarzysze drogi“. W książce tej ludzie z pociągu sanitarnego dają świadectwo prawdzie o swoim życiu i walce. Krytyka sowiecka podkreśla optymizm książki. Podobnie optymistyczne jest dzieło po raz trzeci już nagrodzonego Twardowskiego. Anna, bohaterka jego powieści „Dom przy drodze“, po niezwykłych cierpieniach zdo-



A. T. Twardowski

bywa siły do dalszego życia, do nowego szczęścia.

Niekrasow w nagrodzonej książce „W okopach Stalingradu“ opisuje żołnierski dzień, żołnierskie myśli i uczucia. Leningradczyka Elmara Grina nagrodzono za „Wiatr z południa“, w którym autor przedstawia przebudzenie się chłopów fińskich pod wpływem nadchodzących z południa idei i walk, narastanie nowych tendencji w narodzie fińskim, obalających uprzedzenia i pozwalających wyciągnąć dłoń do żołnierza sowieckiego. Nagrodzenia doczekała się znana już i w Polsce



P. P. Werszygora

z drukowanych w pismach fragmentów „Kwestia rosyjska“ Simonowa, sztuka pod pewnym względem antyamerykańska, której wystawienie w Berlinie wywołało protest amerykański.

Nagrodzono także kilku pisarzy republik radzieckich. A więc regionalnego poetę białoruskiego Piotra Browkę, poetkę litewską Salome Neris, Ukraińca Andrzeja Małyszkę, autora poematu „Prometeusz“, gruzińskiego utalentowanego pisarza Szymona Czikowani i znanego dramatopisarza estońskiego Augusta Jakobsona.

„Życie w cytadeli“, oto tytuł nagrodzonej sztuki Jakobsona, opisującej los inteligencji estońskiej w czasie okupacji niemieckiej, życie o charakterze cytadeli, krępującej wolność ale nie niszczącej do reszty wiary i świadomości walki. brz.

Wśród czasopism

Zakończony w ostatnim dniu lipca konkurs szekspirowski, który przyniósł sporo nagród a wśród nich chyba niemniej sporo niespodzianek, znalazł swe obszerniejsze omówienie dopiero w *Nowinach Literackich i Odrodzeniu*. Dalsze omówienia przyniosą jeszcze chyba *Listy z Teatru* i *Teatr*.

Nowiny Literackie dały właściwie numer szekspirowski. Poza próbkami przekładów Flukowskiego z „Jak wam się podoba“ i Iwaszkiewicza z „Romea i Julii“ otwiera go omówienie roli Hamleta w interpretacji świetnego aktora Jean-Louis Barrault, znanego u nas szerokiej publiczności z doskonałego filmu francuskiego „Ulica złoczyńców“. W dalszym ciągu *Mieczysław Rulikowski* daje skomentowany przedruk trzech godnych uwagi listów *Juliusza Osterwy* o Hamlecie. Jak wiadomo, Osterwa kilkakrotnie w życiu powracał do myśli o wystawieniu „Hamleta“, przy czym sam miał „wziąć na się“ rolę Księcia duńskiego. Podane do druku przez Rulikowskiego listy wyjaśniają, dlaczego do realizacji tej myśli nie doszło. Szczególnie interesujący jest szeroko przez Osterwę w korespondencji z Kotarbińskim wyjaśniany i motywowany niechętny stosunek Osterwy do tej tragedii Szekspira, do jej postaci, do jej problematyki moralnej, do samego jej bohatera. Ostatecznie rok 1946 miał przynieść teatrowi polskiemu „Hamleta“ w realizacji i aktorskim wykonaniu Osterwy, gdyż wojna naprowadziła wielkiego aktora na myśl, że „Hamlet“ to zagadnienie krzywdy i zemsty i że „dobrze by było zagadnienie to otworzyć przed szerokimi warstwami“. Obok materiału ilustracyjnego, który w *Nowinach* zwykle bywa liczny i dobry, tygodnik przynosi cyfrowe zestawienie konkursu szekspirowskiego oraz listę nagród jednak bez „zaszczytnych wyróżnień“.

Samo krytyczne omówienie konkursu zajmuje aż dwie pełne kolumny i pochodzi spod pióra młodego, lecz sumiennego, inteligentnego i budzącego zasadniczo zaufanie do swoich sądów krytyka teatralnego, Edwarda Csato. Autor omówienia dba wielce o sąd niezależny, własny, umotywowany a przy tym możliwie najbardziej sprawiedliwy i bezstronny. Można się z nim w tym czy w owym punkcie nie zgadzać, ale tę jego postawę krytyczną należy uszanować. Krytyki teatralne Edwarda Csato są przemyślane i pobudzają do myślenia. Trudno tu relacjonować poszczególne oceny sztuk finałowych. Warto tylko zaznaczyć, że krytyk ten najwyżej postawił gdyńskie przedstawienie „Jak wam się podoba“ i katowicki „Sen nocy letniej“, biorąc jako kryterium stopień zbliżenia Szekspira do widowni, nasilenie jej zainteresowania spektaklem i stworzenia zachęty do obcowania z dziełami wielkiego dramaturga. Charakterystyczne, że tak postawionym warunkom odpowiedziały ze sztuk finałowych dwie najbardziej beztroskie komedie szekspirowskie. Inne interesujące stwierdzenie Csato brzmi: „We wszystkich przedstawieniach, które dotychczas widziałem w finale konkursu, stroną najbardziej pokrzywdzoną był sam Szekspir. Zamiast maksimum wysiłku włożyć w piękną, precyzyjną i rozumną interpretację jego tekstu, potraktowano ten tekst po macoszemu“. Stwierdzenie to dotyczy „Hamleta“, „Burzy“ i „Snu“, podczas gdy z okazji wystawionej na końcu finału komedii „Jak wam się podoba“ pisze Csato: „To strasznie (!) miło ze strony organizatorów, że na zakończenie Festiwalu Szekspirowskiego pokazali nam także Szekspira“. Ciekawe jest, że Csato ujemnie ocenia niektóre role obdarzone wysokimi nagrodami konkursu, że mocno krytykuje nagrodzone oprawy dekoracyjne Frycza i Daszewskiego. I jeszcze rzecz jedna: spowiada się on ze swoich wątpliwości co do tego, w jaki sposób do finału zakwalifikowana została „Burza“, której premiera odbyła się przecież nie w Łodzi, lecz na finale w Warszawie? To jest poważne niedociągnięcie organizacyjne, krzywdzące te teatry, które do konkursu przygotowały się starannie i na czas.

A teraz ujemne strony opowiadania p. Csato o konkursie szekspirowskim. Już niedawno z okazji jego wielkiego omówienia pracy kilku wybitniejszych teatrów w Polsce dowiedzieliśmy się mnóstwa pozateatralnych czyli pozatematycznych szczegółów, a m. in. i tego, że pisuary w lokalach katowickich mają dużo luster. Z okazji omawianego artykułu o konkursie bogactwo szczegółów pozatematycznych jest jeszcze większe i jeszcze mniej ciekawe. P. Csato ze sprawozdania teatralnego zrobił opowiadanie, którego główną bohaterką jest jego ukochana. Prowadzi z nią długie rozmowy, obsypuje ją czułościami, odprowadza do domu, myśli o niej leżąc samotnie na tapczanie, a w końcu tęskni namiętnie po jej wyjeździe i martwi się, że jego skarb nie mógł widzieć ostatniego przedstawienia finału. Można wybrance p. Csato pogratulować czułego narzeczonego, ale czytelnika pisma literackiego to mizdrzenie się na prawdę diabła obchodzi, denerwuje go rozwlekłość tych czułostek, zajmowanie czasu i miejsca. Jest w tym wszystkim bardzo tania kokieteria, obliczona chyba na najgorsze gusty. Jeśli p. Csato ma ochotę wystawiać literacki pomnik swojej uwielbianej, niech spróbuje napisać powieść lub nowelę, niech jednak oszczędzi czytelnikom ciekawym spraw teatru rozwodzenia się na tematy nie należące w najmniejszym stopniu do rzeczy. A szkoda, żeby się ten obiecujący krytyk teatralny, bardzo jeszcze młody, miał zmanierować.

Pełne umiaru, pełne treści i zwarte omówienie konkursu dał w *Odrodzeniu Tadeusz Peiper*, którego oceny teatralne odznaczają się wielką wnikliwością, subtelną analizą i świetną interpretacją tekstu i pogłębiają się stale na przestrzeni ostatnich dwóch lat w ocenie teatralnej strony spektaklu. Peiper stwierdza przede wszystkim, że konkurs ujawnił nam zainteresowanie publiczności Szekspirem, następnie, że pokazał wysoką klasę naszego aktorstwa. Z kolei przystępuje do obszernego omówienia braków naszej sztuki aktorskiej. Zupełnie słusznie na podstawie obfitego materiału (jako członek jury widział zdaje się wszystkie przedstawienia konkursu) stwierdza, że kreacje naszych aktorów są ogólnikowe, że „nie uwzględniają w człowieku wielości składników“. Zarzuca teatrom polskim zbyt małą pracę nad wnikaniem w teksty czyli po prostu nad wnikaniem w życie człowieka i stwierdza w końcu: „Aby rozporządzać materiałem obserwacyjnym, trzeba interesować się ludźmi namiętnie, a tej namiętności u naszych aktorów nie widać. Bez niej wielkiego teatru nie posiądziemy i widzów w pełni nie nasycimy, bo człowieka interesuje i zawsze interesować będzie najbardziej człowiek“. Mocno przemawia czytelnikowi i widzowi teatralnemu do przekonania ocena konkursu z punktu widzenia tego, co dał on w zakresie aktorskiej sztuki słowa, a jeszcze bardziej stwierdzenie, że konkurs wykazał u naszych aktorów wielkie lekceważenie „pozasłowia“, gestu, postawy, mimiki związanej z sytuacją, z kwestiami partnera. Twierdzenia swoje uzasadnia Peiper wieloma trafnie dobranymi przykładami, co czyni jego omówienie konkursu jednym z najlepszych osiągnięć naszej krytyki teatralnej po wojnie.

Wydarzeniem w pewnym stopniu uroczystym w naszej prasie periodycznej był ostatnio jubileusz tygodnika *Kuźnica*, obchodzony z okazji setnego numeru tego pisma. Upamiętnił ten fakt „Czytelnik“ ufundowaniem jeszcze jednej nagrody literackiej w wysokości 100.000 zł. Z jednego z dowcipów w jubileuszowym numerze *Kuźnicy* można wnioskować, że pisarze grupujący się wokół tego pisma czują się pokrzywdzeni dotychczasowym rozdziałem nagród literackich. Ta nagroda więc ukoi ból.

Z okazji tego setnego numeru warto spojrzeć na rolę i charakter *Kuźnicy*, na to, co ją w plejadzie naszych pism społeczno-literackich wyróżnia. Jest *Kuźnica* już od swych anemicznych początków pismem wojującym o przyszłość i teraźniejszość marksizmu w Polsce. Jest pismem bojowym, nie idącym na poklask i wielką popularność zdobywaną „urozmaicaniem“ i różnymi redakcyjnymi pomysłami, które wypełniają ostatnie kolumny innych tygodników. Ideologiczne rozważania, sprawy polityczne i społeczne przeważają tam dosyć silnie nad literackimi. Formułowane one są jasno, skrajnie, dobitnie, bez kompromisów, bo „Kuźnica“ raczej nie uznaje „katechumenów“ marksizmu, więcej opiera się na ludziach ideologicznie już wypróbowanych, a innych dobiera sobie ostrożnie dla tym bardziej oczywistego potwierdzenia swojej racji. Można więc o niej mówić jako o organie intelektualistów skrajnej lewicy polskiej, organie dosyć ekskluzywnym i sztandarowym, w którym współpraca rzuca na człowieka w oczach niektórych ludzi czerwony cień, tak jak „Tygodnik Powszechny“ rzuca zaraz cień klerykalizmu. Tak samo jak prasa katolicka jest konsekwentna w swym katolicyźmie, *Kuźnica* jest konsekwentna i nieustępliwa w marksiźmie, co naturalnie musi doprowadzać do licznych starć i polemik pomiędzy dwoma obozami. *Kuźnica* polemizuje i dyskutuje dużo i namiętnie. Jej publicystykę wyróżnia nie tylko obfitość, lecz i rozmiary, którymi redakcja zgoła się nie krępuje, przedkładając dokładność oświetlenia problemu ponad ponęty poczytności. Interesująca jest postawa grupy *Kuźnicy* w sprawach sztuki. Pismo, którego zasadą podstawową jest sztuka upowszechniona, wyrównanie różnic kulturalnych w masach, dziełu sztuki stawia najwyższe wymagania artystyczne i bez pardonu odsądza od wartości wszystko, co, trąci łatwizną i obliczaniem na popularność. Szczególnie ostro zaś sądzi dzieła, które nie odpowiadają jej ideologii. To jest minus tej postawy, minus tym większy, iż w tym względzie czasopisma katolickie zdobywają się na większy obiektywizm oceny, choć grzeszą łatwymi zachwytami nad tym, co im ideologicznie odpowiada. Tu znów *Kuźnica* w stosunku do swoich autorów wykazuje większy krytycyzm, choć popiera ich gorąco zawsze i wszędzie. Ten krytycyzm wykazuje też często w odniesieniu do wielu zjawisk naszego życia powojennego, co powiększa doniosłość jej niektórych wystąpień.

Kuźnica bywa czasami nudna, ale też i bez niej nudno dosyć byłoby w naszej prasie literackiej. Także dzięki istnieniu *Kuźnicy* wielu naszych publicystów może sobie nieznacznie ulżyć w krytyce rządu. *(ki)*

Hamlet w Warszawie

„Hamleta“ w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie wyreżyserował Arnold Szyfman, dekoracje przygotował Karol Frycz



M. Wyrzykowski jako Hamlet i S. Żeleński jako Horacjo

Plany dyrygenta

Początkowo jeden z twórców tzw. „Młodej Polski“, obok Karłowicza, Szymanowskiego i Różyckiego, a potem, po usunięciu pracy kompozytorskiej na plan dalszy, niezwykle gorliwy i wielce zasłużony jej propagator w kraju i za granicą, Grzegorz Fitelberg, jako dyrygent położył dla muzyki polskiej ogromne i, trzeba przyznać, doceniane zasługi.

Nie tylko „Młoda Polska“ ale wszystko co w Polsce było młode, znajdowało i znajduje w nim stale życzliwego propagatora, Fitelbergowi zawdzięczają prawykonania wszystkich swoich utworów, niemal wszyscy współcześni kompozytorzy polscy: Karłowicz, Szymanowski, Różycki, Opieński, Maklakiewicz, Kondracki, Marek, Łabuński, Perkowski, Rudnicki, Sikorski, Szałowski, Wiechowicz, Palester, Lutosławski, Bacewiczówna i inni.

O pracy jego dla propagandy muzyki polskiej za granicą świadczyć może krótki przegląd jego kalendarzyka koncertowego z roku ubiegłego, już po Międzynarodowym Festiwalu w Londynie, w jury którego zasiadał i dyrygował koncertami. Po krótkiej wizycie w Polsce, w październiku r. ub., w czasie której dyrygował dwoma koncertami w Krakowie, mając szereg zawartych kontraktów, wyjechał G. Fitelberg 1 listopada 1946 r. na całosezonowe tournee za granicę: Kopenhaga, Sztokholm, Oslo, Paryż, Londyn, potem w lutym cykl aż 20 koncertów w Hadze, następnie znowu Londyn, Rzym, dalej Bolonia, Florencja, Mediolan — oto szlak artystyczny G. Fitelberga, jego ogromnych osobistych sukcesów, a zarazem poważnych sukcesów muzyki polskiej.

Jasnym jest, że programy dyrygowanych przez niego koncertów, zawierały liczne dzieła polskie, a szereg koncertów wyłącznie był poświęcony muzyce polskiej. Wykonywał więc Fitelberg wielokrotnie Szymanowskiego Harnasie, II Koncert skrzypcowy, II Symfonię, Nocturn, Tarantelę, Pieśń Roksany i Etiudę b-moll, we własnych transkrypcjach orkiestrowych, Karłowicza „Epizod na maskaradzie“ (jak wiadomo po tragicznej śmierci Karłowicza dokończony i zinstrumentowany przez Fitelberga), Różyckiego „Anhellego“, Palestra II Symfonię, Małą uwerturę, Polonezy, Kasserna Koncert na głos solowy i orkiestrę, Lutosławskiego Wariacje, Szałowskiego Uwerturę, Kondrackiego „Żołnierzy“ i szereg innych.

Po powrocie do Polski w czerwcu br. Fitelberg objął kierownictwo Radiowej Orkiestry Symfonicznej, osiadając na czas dłuższy w Katowicach. (Wbrew wielokrotnie publikowanym przedwczesnym decyzjom co do przeniesienia katowickiej Ork. Symf. Pol. Radia do Wrocławia czy Warszawy, dyr. Fitelberg uważa, że nie nastąpi to z pewnością ani w sezonie koncertowym 1947/48, ani w następnym).

Celem jego obecnej pracy jest powiększenie orkiestry do rozmiarów pełn. składu, a nast. postawienie jej na tak wysokim poziomie wykonawczym, aby mogła skutecznie współzawodniczyć z każdą europejską orkiestrą. Przypomnieć tu wypada, że w roku 1937 na wystawie światowej w Paryżu, zdobył G. Fitelberg z ówczesną orkiestrą symfoniczną Pol. Radia złote medale i dyplomy honorowe dla siebie i dla orkiestry.

Grzegorz Fitelberg

Od 1 sierpnia br. G. Fitelberg przebywa już w Katowicach i pracuje. Po inauguracyjnym koncercie w dniu 8. VIII. nastąpią dalsze w dniach 12-go, 23-go i 30-go września oraz 7 października. Potem dwa koncerty w ramach ogólnosłowiańskiego festiwalu radiowego (8—16 XI.). Następnie wyjazd do Londynu. Grudzień poświęca dyr. Fitelberg Szymanowskiemu. Cykl koncertów w dniach 9, 16 i 23 grudnia obejmie: II, III, i IV Symfonię Szymanowskiego, I i II Koncert skrzypcowy oraz Harnasie!

Koncertem w dniu 30 XII br. rozpocznie G. Fitelberg całomiesięczny cykl polskiej twórczości symfonicznej z okresu wojny i powojennego, wykonywując utwory Palestra, Lutosławskiego, Spisaka, Malawskiego, Sikorskiego, Bacewiczówny, Jerzego Fitelberga, Maklakiewicza, Panufnika, Szebelskiego, Rudzińskiego, Wiechowicza i innych. W lutym dyrygować będzie Fitelberg cyklem koncertów w Holandii. W marcu da ich pięć, w których wykona utwory Bacha, Haendla, Mohaupta, Orthela, Roussela, Bartoka, Petrassi'ego, Martina oraz współczesnych kompozytorów radzieckich i czeskich. W kwietniu wyjeżdża na koncerty do Wiednia, Budapesztu i Włoch.

Projektuje też regularne wyjazdy z orkiestrą Pol. Radia do Wrocławia, a sporadycznie do Krakowa i Warszawy, ponadto chciałby dać szereg koncertów dla robotników w hutach i kopalniach Śląska.

M. JÓZEF MICHAŁOWSKI

Wejście na scenę

Powalony straszliwym, nieubłaganym, beznadziejnym cierpieniem, Osterwa przecież codziennie wzywał swych najbliższych współpracowników nie tylko teatralnych, lecz i uczących w Państwowej Szkole Dramatycznej, dowiadując się wyczerpująco o sprawy bieżące i dalsze obydwu instytucyj. Szczególnie bliska Jego sercu była wspomniana Szkoła Dramatyczna, ostatnie dzieło Osterwy, pragnącego z niej utworzyć kontynuację mutatis mutandis Reduty. Nieubłagany zgon położył kres zamierzeniom i planom, zakrojonym na wielką przez Osterwę skalę. Lecz ziarno, zasiane przez Wielkiego Artystę i Nauczyciela przyniosło piękny plon. W niecałe dwa miesiące po śmierci Osterwy zakończono pierwszy rok działalności Szkoły egzaminami do Z. Z. A. S. P. Egzaminy te ujawniły wysoki bezsprzecznie poziom Szkoły. Przewodniczący komisji egzaminacyjnej, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi, dr. B. Korzeniowski, w końcowym swym przemówieniu podkreślił osiągnięcie pięknych wyników, oświadczając ze swej strony, że praca krakowskiej Szkoły zasługuje na wyróżnienie ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Omawiana Szkoła jest jak dotąd jedynym liceum teatralnym w Polsce. Z osiemnastu zdających uczennic i uczniów wszyscy uzyskali tytuły aspirantek i aspirantów Z.Z.A.S.P. Powtórzeniem praktycznej części egzaminu, (publicznego, jak i część teoretyczna) był pokaz końcowy Szkoły. W repertuarze jego zamieszczono wyjątki ze „Ślubów panieńskich“, „Mazepy“, „Zaczarowanego koła“, „Rozdroża miłości“, „Sędziów“, „Moralności pani Dulskiej“ oraz całość „Pana Beneta“ i „Z dobrego serca“. Za tym Fredro (dwukrotnie), Rydel (dwukrotnie), Słowacki, Zawieyski, Wyspiański i Zapolska. Repertuar, wymieniany według kolejności realizacji stanowił przekonywający przegląd naszego dorobku dramatycznego od romantyzmu aż po czasy dzisiejsze.

Słowa niezdawkowego uznania należą się wykładowcom rzemiosła scenicznego: T. Burnatowiczowi (wicedyrektorowi Szkoły), A. Szymańskiemu i R. Zawistowskiemu. Z wykonawczyń wybitny talent liryczny wykazała Ewa Drozdowska, jako Aniela w „Ślubach panieńskich“ i Mela w „Moralności pani Dulskiej“, Halina Gryglaszewska ujawniła niepoślednie zacięcie tragiczne, jako Jewdocha w „Sędziach“ i Marta w „Rozdrożu miłości“, Halina Mikołajska pełna dramatycznego wyrazu ukazała się w roli Julki („Z dobrego serca“) i Joasa („Sędziowie“). Z męskiego zespołu wyróżnić należy Gustawa Holoubka, obdarzonego temperamentem i bezpośredniością, czy to jako Natan w „Sędziach“, czy jako Król w „Mazepie“.

Krakowska młodzież teatralna, rokująca tak piękne nadzieje rusza obecnie na start, częściowo pozostając w Krakowie, częściowo kierując się do innych teatrów w Warszawie, Poznaniu, Bielsku, Kielcach, Katowicach i Bydgoszczy.

Adam Wierusz.

Szkoła dramatyczna przy Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach założona i prowadzona w pierwszym powojennym sezonie przez Wiliama Horzycę i Adwentowicza, wypuściła z końcem minionego roku szkolnego pierwszych abiturientów. Egzamin, jaki się odbył w Krakowie, przeszli zwycięsko: Jan Gnich, January Krawczyk, Celina Kubicówna, Zofia Michalska, Danuta Morawska, Halina Piłatówna i Irena Wolfowa. W końcowej fazie istnienia szkoły — bo na razie nie myśli się w Katowicach o jej wskrzeszeniu z nowym rokiem szkolnym — szczególną troskę dla czniów okazał dyrektor Sobański, długoletni pracownik teatralny na Śląsku. Abiturienci śląscy musieli podpisać nierozsądne i szkodliwe zobowiązanie, o którym była mowa w jednym z poprzednich numerów „Odry“. W ten sposób młode siły aktorskie, wymagające starannej opieki teatralnej i artystycznej, tułać się będą musiały po teatrach mniej zaawansowanych artystycznie, uboższych. Gdy tymczasem, powtarzamy to jeszcze raz, do teatrów na Ziemiach Odzyskanych należy zobowiązać nasze „gwiazdy“ teatru a nie młodziutkich adeptów. Jest chyba rzeczą jasną, że pragniemy mieć dobry teatr na odzyskanych terenach.

Kora.

Sport

Niejeden już głos padł w sprawie niepokojącej atmosfery w naszym sporcie. Tegoroczne rozgrywki drużyn piłkarskich o wejście do ligi państwowej troskę tę wzmocniły. O ile jednak większość głosów narzeka na częste przejawy brutalności fizycznej na boisku, w czym celuje zwłaszcza drużyna zeszłorocznego mistrza Polski warszawskiej „Polonii“, to mniej uwagi poświęca się przejawom szowinizmu międzydzielnicowego, który szczególnie pojawia się tam, gdzie odbywają się mecze drużyn śląskich z drużynami z poza Śląska.

Doszedłem do wniosku, że drużynom śląskim nie wolno po prostu wygrywać, jeśli pragną zdobyć sobie sympatię obcej publiczności. Pamiętamy wszyscy dwie wielkie awantury, które publiczność sosnowiecka i będzińska wywołały na boiskach śląskich po przegranych ich drużyn. W Chorzowie milicja musiała użyć broni, pijani kibice z Sosnowca wdarli się na boisko potrząsając drągami i pustymi butelkami. Zaraz potem katowicki „Sport“ napisał, że sosnowiczanie mają grube zastrzeżenie natury narodowej do bramkarza klubu śląskiego, i że na tej podstawie mecz może być unieważniony. Poddano zatem publicznie w wątpliwość przekonania narodowe człowieka, zniesławiono go, atoli — dziw nad dziwy — jak się okazało miało to jedynie służyć skaperowaniu dobrego bramkarza do własnej drużyny. Możemy zatem śmiało uważać notatkę w „Sporcie“ za próbę szantażu... Po meczu „Sarmacji“ z Będzina z „Ruchem“ w Wielkich Hajdukach awantura miała mniej groźny charakter, może ze względu na zdecydowaną postawę milicji. Ale i ona nie przyczyniła się do złagodzenia międzydzielnicowych tarć, postępek kibiców nie mógł być poprostu komentowany przychylnie. Do tego prasa sportowa śląska awantury te raczej zbagatelizowała.

W Krakowie pod koniec lipca drużyna śląska przegrała wysoko. Niezadowolona z orzeczenia sędziego, sosnowiczanina, zeszła z boiska. Oczywiście było to pociągnięcie błędne. Ale reakcja publiczności krakowskiej była co najmniej osobliwa. Na trybunach zaczęto skandować obraźliwy okrzyk: Folks-doj-cze! Folks-doj-cze! Słusznie w „Przekroju“ napiętnowano to, wznosząc pod adresem publiczności krakowskiej okrzyk niemniej obraźliwy ale zasłużony: Cha-my! Chamy! Także Otwinowski w „Kuźnicy“ poruszył tę sprawę, karcąc krakowian.

Sprawa zaczyna być groźna. Rozsądne zarządzenia państwowe nie pomagają jeśli przeciwstawia im się niezrowa opinia tłumu. Ta opinia jest przeciw Ślązakom. Wydaje się, iż jedyną rzeczą, którą Ślązakom wolno robić i za którą można ich chwalić, to praca na kopalni. W sporcie — nie wolno im robić tego wszystkiego co wolno innym, a więc wygrywać, grać ostro, krytykować orzeczeczenia sędziego... Kto pamięta sprawę boksera Rademachera, ten nie może się pozbyć przykrego osadu w duszy. Uzyskanie pełnych praw obywatelskich nie uprawnia do występowana w charakterze członka sportowej reprezentacji państwowej. Ten rozdźwięk jest groźny. Wartość obywatelstwa polskiego przez tamto jedno pociągnięcie kapitana sportowego PZB. obniżyła się ogromnie w opinii śląskiej. Wszystko bowiem, co się dzieje w życiu sportowym, ma w tej najbardziej usportowionej dzielnicy polskiej wielkie echo.

Zawróćcie z tej drogi! Niwelacja różnic dzielnicowych oraz konsekwencji śląskich volkslist nie może się odbywać jedynie na płaszczyźnie prawnej. Przestańcie obrażać Ślązaków! Obok pochwał za pracę, wykonanie planu, produkcję — należy im się przede wszystkim pełne równouprawnienie obywatelskie. W sporcie winna zaś o tym pamiętać szczególnie publiczność nieśląska, tak skora do nieprzemyślanych wystąpień, zapładniających w konsekwencji ziarnem niezgody także i trybuny śląskie.

Jędrzej Makosz

Bałtyk—Jadran

SĄD bliskich nam sąsiadów, Czechów i Słowaków o stosunku naszym do spraw morza sprzed dwudziestu laty pozwala nam na ocenę zmian w naszej psychice, w jej przeobrażeniach, w nastawieniu naszym obecnym do spraw morskich.

Nieznany nam autor pisał w czeskim piśmie „MORAVSKO SLEZKI DENNIK“ (w nr 23/I z 1926 r.) z goryczą: W teorii — na papierze, czy też w uroczystych toastach, rozpływali się członkowie polskiego narodu często — gęsto nad „polskim morzem“. Deklamowali o „słowiańskiej straży“ nad Bałtykiem. Z upodobaniem śpiewali krasę nieskończonego oceanu. W życiu codziennym nie podejmowali niczego, by wyciągnąć korzyści z naturalnych darów i ekonomicznych możliwości, nastręczanych przez rozległe morze. A przecież żywioł słowiański mógł już przed czy pięciu wiekami zyskać zupełnie inny kierunek — jak wykazały nowsze badania historyków — „gdyby polscy władcy potrafili odpowiednio wykorzystać istniejący wówczas dostęp do morza“.

Gdyby — pisze dalej wynikliwie czeski autor artykułu — Rzeczpospolita Polska w przeszłości silną zarzuciła kotwicę na morzu i zorganizowała w odpowiedniej mierze swój wywóz morski, mogłaby zostać i być państwem niepokonalnym i nigdy by nie doszło do jej nieszczęsnego poćwiartowania.

Również zupełnie inaczej, korzystniej ułożyłyby się losy Słowian nad Łabą, na Górnym Śląsku, na dzisiejszym Pomorzu i w krajach bałtyckich.

Autor zaniepokojony ówczesnym nie dość aktywnym stosunkiem Polski do morza, do własnego skrawka wybrzeża, stanowiącego 2 proc. ówczesnych granic Polski, stawiał trwożne pytania, jak też wykorzysta Polska ten cenny dar, dający jej bezpośredni dostęp do całego świata. Pamiętajmy, że tego dostępu do mórz i oceanów pozbawiona była bratnia nam Czechosłowacja. Położona w sercu zachodniej Słowiańszczyzny, poprzez Polskę i Jugosławię jedynie mogła szukać dostępu do Bałtyku i Jadranu. „Czyż może“ — pyta się nieznany nam autor, mając na myśli odwieczne dążenie niemieckie do okrążenia i odnięcia Polski od morza — „powtórzyć się dziejowa tragedia?“ A gdyby powtórzyć się miała — czyż inni Słowianie mogliby się temu milcząco przyglądać?“ „Czyż mają tyle własnego morza, by nie musieli O KAŻDY JEGO FRAGMENT wspólnymi siłami dzień i noc walczyć?“

„Wszakże niedaleka przyszłość (pisane w 1926 r.) nie jest niema odnośnie tych bezgranicznie ważnych pytań — nie tylko specjalnie polskich, lecz i wszechsłowiańskich“ — kończy proroczo autor. Przebiegło dwadzieścia lat. Wypełniła je historia naszego życia, historia małych w swych zabiegach dnia codziennego, szarych ludzi, należących do wielkiego pokolenia: współczesnej Polski. Posiadamy zwielokrotniony dostęp do morza, do Bałtyku. Stopień „morskości“ Polski uległ rewolucyjnej przemianie. Odsetek wybrzeża morskiego Polski zwiększył się z 2 proc. w 1939 r. do 18 proc. obecnie. Wielkie wybrzeże morskie, z jego trzema zasadniczymi portami: dwuportem Gdańska i Gdyni oraz Szczecinem, uczyniło z nowej Polski państwo bałtyckie, wprowadzając w nowy krąg zagadnień i otwierając przed Polską oraz bratnimi narodami słowiańskimi, w szczególności Czechosłowacją, daleko idące możliwości współpracy międzynarodowej. PRZYJACIELE NASI, SŁOWIANIE, ŻYCZLIWIE I UWAŻNIE OBSERWUJĄ naszą pracę na morzu w dobie obecnej. Obserwują ją zarówno posiadający wiekowe doświadczenie w żegludze i korzystaniu z morza Słowianie zachodni, od Jadranu poczynając, jak też realizujący z ogromnym rozmachem, wytrwałością i konsekwencją swe plany na Bałtyku i dalekich morzach i oceanach potężny naród rosyjski. Szczególnie uważnie obserwuje trzeźwo myślący i dobrze obliczający naród czechosłowacki za naszym pośrednictwem realizujący swój dostęp do morza. We wspólnie podjętym wysiłku powstają plany urzeczywistnienia wielkiej drogi wodnej, w oparciu o Odrę, łączącej w przyszłości Czechosłowację z Bałtykiem. Ta droga wodna, będąca wyrazem ścisłej współpracy gospodarczej bratnich narodów słowiańskich, zadecyduje w sposób trwały o rozwoju m. in. Śląska i jego przemysłu.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że nadchodzi dla nas, dla całej Słowiańszczyzny, czas wielkiej i rozumnej pracy. Pracy konstruktywnej i pozytywnej. Pracy, w której Jadran i Bałtyk stanowić będą ramiona zjednoczonych dla wspólnego dobra narodów słowiańskich, kładących raz na zawsze tamę zachłanności germańskiej. Błędów historii nie wolno powtarzać!

Wojciech Stopczyk

Kronika Olsztyna

2. VIII. — 15. VIII. 1947 r.

ŻYCE TEATRALNE:

dnia 2, 3, 4, 5, VIII. w teatrze miejskim im. St. Jaracza wystąpili artyści scen Warszawskich z Zafią Lindorfówną i Marianem Wyrzykowskim na czele w komedii Niewiarowicza p. t. „Kochanek to ja“. Udział wzięli: Wieńczysław Gliński i Tytus Dymek, reżyseria M. Wyrzykowskiego;

dnia 8. i 9. VIII. w teatrze miejskim im. St. Jaracza wystąpili w satyrze politycznej artyści Polskiego Radia: Chmurkowska, Świętochowski i Łuczaj;

dnia 10, 11, i 12. VIII. w teatrze miejskim im. St. Jaracza Teatr Toruński wystawił komedię Verneuilla w tłumaczeniu Boya Żeleńskiego pt. „Musisz być moją“. Udział wzięli: A. Bayllówna, Magdalińska, M. Hodorska, J. Maślinska, L. Gołębiowski, J. Olidowicz i P. Zieliński. Reżyseria Maryli Broniewskiej, projekt wnętrza Igora Przegrodzkiego.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“ Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja. Katowice, 3 Maja 36a, II ptr Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30252